TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XVI — ZESZYT 3

★

TREŚĆ

★

KRAKÓW, LIPIEC 1932 R.

REDAGUJE PRZY WSPÓŁUDZIALE KOMITETU REDAKCYJNEGO
JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

WYDAWNICTWA
SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

do nabycia za pośrednictwem Administracji
«TATERNIKA»

	Zł.
TATERNIK, rocznik 1907, 1908 i 1909	wyczerpany
Do nabycia pojedyńcze zeszyty:	
Nr. 3 i 6 z 1907 r. Nr. 4—6 z 1908 r. Nr. 1 oraz 3—6 z 1909 r. po . . .	4·—
TATERNIK, rocznik 1910	20·—
— — 1911	20·—
— — 1912	20·—
— — 1913 wraz z 2-ma zeszytami rocznika 1914	12·—
— 5 zeszytów za lata 1915—1927	10·—
— rocznik 1928 i 1929 po	8·—
— rocznik 1930	9·—
— rocznik 1931	10·—
— zwyczajne zeszyty pojedyńcze roczników 1929—1932 po .	2·—
— zeszyty specjalne („łomnicki“ i „alpejski“) po	3·—

KSIĄŻKI I BROSZURY:

I. MIECZYSŁAW KARŁOWICZ W TATRACH. Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne, wydane staraniem Zarządu Sekcji Turystycznej, str. XII + 82 + 1 knlb. + 26 tablic (w tem jedna rotograwjura i 6 światłodruków), cena egzemplarza brosz.	10·—
dla członków Sekcji	7·—
II. KLEMENSIEWICZ ZYGMUNT: ZASADY TATERNICTWA, z rysunkami J. R., str. VIII + 192; mała 8-ka, opr.	2·—
— KOMORNICKI STEFAN: Z DZIEJÓW TATERNICTWA, Szkic. Osobne odbicie z ‹Taternika› 1909, str. 17	1·—
— ŁOMNICA. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe na kredowym papierze w 35 numerowanych egzemplarzach, Kraków 1931	5·—

Nakładem Drukarni Narodowej w Krakowie:

III. CHMIELOWSKI JANUSZ i ŚWIERZ MIECZYSŁAW: TATRY WYSOKIE, I. Część ogólna. — Doliny. 4 knlb. + str. 118

IV. — II. Przełęcze i szczyty (od Liljowego po Wagę), str. VIII+178

V. — III. Przełęcze i szczyty (od Wagi po Lodową Przełęcz), 2 knlb. + str. 176.

VI. — IV. Przełęcze i szczyty (od Lodowej Przełęczy po Przełęcz pod Kopą), str. VIII+100

Całość 15·— zł. tylko dla członków Sekcji

Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości; na przesyłkę poleconą dołączyć 50 gr.

PRENUMERATA ROCZNA «TATERNIKA»
wraz z przesyłką pocztową wynosi w Polsce 8·— Zł,
zagranicą 12·— Zł.

XXIII. WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO odbędzie się 10 lipca 1932 roku w Zakopanem, w Dworcu Tatrzańskim, o godzinie 10-tej.

Porządek dzienny:

1. Odczytanie protokołu z Nadzw. Walnego Zgromadzenia z dnia 5 marca 1932 r.
2. Sprawozdanie Zarządu.
3. Sprawozdanie Komisji Kontrolującej.
4. Utworzenie Klubu Wysokogórskiego (zmiana Statutu).
5. Preliminarz budżetu na r. 1933.
6. Wybór nowego Zarządu.
7. Wnioski i interpelacje.

W razie braku wymaganego kompletu następne Walne Zgromadzenie odbędzie się tegoż dnia w tem samem miejscu o godz. 10.45.

Nazajutrz — w razie dostatecznej ilości uczestników — odbędzie się tradycyjna wycieczka klubowa.

Zarząd Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego: *Dr. Kazimierz Piotrowski*, prezes, *B. Małachowski*, sekretarz.

TATERNIK

ROCZNIK XVI ★ KRAKÓW, LIPIEC 1932 R. ★ ZESZYT 3

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE

«CHARAKTERYSTYCZNA PŁYTA»

CZĘŚĆ I

J. Ch. i M. Ś. droga Nr. 437: «Pr. partje krzesanej i płytowej, wydatniejszej rzeźby pozbawionej pn. ściany, przerzyna skośny, wodą ociekający komin, spadający z pod przełęczy między Żabią Turnią Mięguszowiecką a Wołową Turnią i podcinający się w dole gładkiem, częściowo przewieszonem urwiskiem. Od Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem drogą 430 do miejsca, gdzie — już na pr. od linji spadku omówionego we wstępie komina — zachód, którym dążymy, przekształca się w trawiastą półkę. Uszedłszy nią kilka kroków w pr. bierzemy się wgórę, na ścianę, kierując się poprzez b. strome stopnie skalne — z odchyleniem w pr. ku CHARAKTERYSTYCZNEJ, spadzistej płycie pod przewieszonemi ściankami».

— —

Tak się zaczęło — właściwie niezupełnie, bo, żeby dokładniej sobie zdać sprawę, wiedzieć jeszcze należy, że pomiędzy Żabią Mięguszowiecką a Wołową leżała przełączka, prawie że bez nazwy — nazywaliśmy ją pokątnie «Byczą», ale nazwa ta, zaznaczam, była pokątna — a pozatem wiedziećby należało i to, że na niej od północnej strony jeszcze ręka ludzka nie postała.

— Nu-dobrze, panoczku — rzekł mój towarzysz z litewskim akcentem.

Towarzysz, który został moim towarzyszem w sposób zupełnie niespodziewany. Pewien inny mój towarzysz umówił się ze mną na wycieczkę do M. O. plus i t. d.: przyczem, gdy ja broniłem się przed napaścią, twierdząc, że nie jestem przygotowany, nie mam dutków i prowiantów, powiedział lekceważąco, pełen protekcyjnej powagi, iż to nie szkodzi, gdyż będzie miał ich tyle, że dla nas obu wystarczy w zupełności. Później, nawiasem mówiąc, gdy byliśmy już w Morskiem Oku okazało się, że ma przy sobie 2 puszki pomidorów i aż 1 złoty 80 gr. gotówki — był to tylko złośliwy dowcip losu, a gdzie los wchodzi w grę, bezsilną jest wola ludzka. Otóż ten mój towarzysz na tę samą wycieczkę umówił się z pewną swoją towarzyszką, a ta — z tamtym moim towarzyszem, który o mojem istnieniu, o ile wogóle coś wiedział, to wiedza ta miała charakter wybitnie akademicki.

Następnie cała ta kompanja, ze mną włącznie, dostała się na raty pustym autobusem, po zniżonej cenie 4 zł. od sztuki, do obojga schronisk ponad Morskiem Okiem; to, co było jeszcze później, nie ma bezpośredniego związku z «Charakterystyczną Płytą» — dość jest wiedzieć, że towarzystwo się rozpadło i zostaliśmy we dwóch: towarzysz z litewskim akcentem i ja.

— —

Stromo, groźnie i nieprzystępnie wyglądało wejście na «Byczą» od Czarnego Stawu.

Szło się długo, długo, długo po kamieniach wielkich i kamieniach małych — tam, gdzie czerwona strzałka wskazuje gniewnie: — «na Rysy». Doszło się do piargu wielkiego i do piargu małego, do śniegu, do skośnego komina, do trawiastej półki.

Zjadłszy pudełko sardynek, pewną ilość petit-beurów i inne, dla mnie w tej chwili mniej pewne, ilości, zdjęliśmy i zostawili buty wraz z czekanem, by mogły na nas tem skuteczniej poczekać (czekan, jak sama nazwa wskazuje, — narzędzie do czekania).

Wprost nad nami, pod szeregiem czarnych przewieszek widniała «zdala widoczna, charakterystyczna płyta», ku której prowadziły «bardzo strome stopnie». — «Nu — dobrze, panoczku» — ruszyliśmy, przewiązawszy się liną. Skała była mokrawa, tak, że wkrótce musiałem zdjąć oślizgujące się tenisówki i iść w skarpetkach.

Towarzysz szedł pierwszy poprzez strome stopnie, które rzeczywiście były strome, a miejscami i przewieszone; a, że był stosunkowo słaby w rękach i czuł się nieszczególnie, utknął na jednej z przewieszek i pomimo najbardziej pomysłowych trików nie mógł jakoś dać z nią sobie rady.

Ludziom kompetentnym wiadomo, że stać w skarpetkach, solidnie przemoczonych, w niezbyt pewnem miejscu przez prawie pół godziny, na zimnie, w ciągłem napięciu uwagi dla należytej asekuracji, do przyjemności nie należy. Przeto sądzę, iż nikt się nie zdziwi, że ja choć zmarznięty, ale wszak byłem wysoko i pod niskiem ciśnieniem, zawrzałem gniewem i zażądałem stanowczej zmiany dekoracji.

Teraz byłem pierwszy, i, nabrawszy rozpędu, nie powiem — z łatwością, ale w każdym razie względnie szybko uporałem się z przewieszką, po czem nastąpiła dziwna gmatwanina linowa, z ciągłem w- i wy-pukiwaniem haków, skutkiem którego jednemu z naszych młotków nagle się na życiu skończyło, a rączka rozpadła się na 3 nierówne połowy. Boć nie żałuję ściany, kiedy wbijam hak — niech ma za swoje: «ona mnie gryźć, ale i ja ją gryźć» — jak mówią Chińczycy miażdżąc zebami dokuczliwe owady.

Wkońcu byłem na płycie, tej niby «charakterystycznej»: była mokra, ogromna, stroma i prawie całkiem gładka, tylko w prawo biegła dość wąska, lecz przechodzalna szpara.

Tą właśnie szparą dotarłem do mikroskopijnego trawniczka, przy którym wbiłem hak asekuracyjny.

O ile nie boję się innego rodzaju trudności i jestem z niemi naogół

w dość dobrej komitywie, o tyle płyty nigdy nie stanowiły dla mnie zbytniej atrakcji — i, powiem wprost, na swem obecnem stanowisku czułem się «dość obojętnie», że użyję — przez wzgląd na osobę mego towarzysza — wileńskiego zwrotu.

Mój towarzysz, choć «płyciarz», też nie był zachwycony widokiem naszej «Charakterystycznej», acz widok ten krajobrazowo miał niemało uroku i nie brak mu było niekłamanej grozy.

Stwierdziwszy, że z mojego stanowiska niema drogi, któraby zechciała puścić, stransportowałem się w wygodniejsze miejsce i pozostawiłem towarzyszowi wolną rękę w robieniu wypadów orjentacyjnych dla wymacania sytuacji.

Wniosek ostateczny był ten, że «Charakterystyczna» może puścić lewym brzegiem. Ale godzina była 4-ta post meridiem, a przebyta przez nas droga była również 4-tą — częścią całości. Pozatem przewodnik podawał tę część drogi, jako będącą w skali trudnej, tymczasem «Charakterystyczna» i, prowadzące ku niej, stopnie były conajmniej b. trudne, zaś nadmienić wypada, że wogóle nie wiadomo, czyby ta pierwsza puściła. Więc z ciężkiem sercem i pustym żołądkiem zabraliśmy się do schodzenia.

Dokonywaliśmy dziwnych sztuczek ekwilibrystycznych, przechodząc przewieszki zgóry na dół i odwrotnie, wpoprzek i naukos, niesamowicie wyginając się całem ciałem, by stanąć na czemś, czego nigdy nie było, a zeszedłszy przekonać się, że tam nietylko nigdy nic nie było, lecz i nic niema.

Nareszcie doszliśmy do łatwiejszego miejsca, gdzie była mizerna, popękana płycina, niebardzo nawet do płyty podobna, a za nią można było się domyśleć trawersu. Wychodząc z założenia, że niewiele mamy do stracenia, postanowiłem zbadać domniemany trawers, jako ewentualną drogę na przyszły atak. Przeszedłem «płytę», małe kominiątko... patrzę i widzę — tu, przedemną wszystko, jak na dłoni leży, jak w przewodniku stoi!

— Cholera z buraczkami!... Tać przecie to jest «Charakterystyczna płyta»! — wołam — A tamta kupa kamieni — to, «strome stopnie».

— Nie?

— Co, nie? Nie żadne nie, ino — tak.

Towarzysz doszedł do mnie.

O reszcie zamilczę, by uniknąć publicznego zgorszenia, gdyż nawet słońce, słuchając naszej rozmowy, zaczerwieniło się biedactwo, i schowało czemprędzej za Wołoszyn.

Tak skończyła się część pierwsza, a druga rozpoczęła się w dniu następnym.

CZĘŚĆ II

Początek dnia następnego miał zapach deszczu, choć świeciło słońce. Silny wiatr dął z południowego-zachodu, pędząc bałwany po Morskiem Oku. Przez grań Mięguszowieckich mknęły strzępy chmur.

Zdecydowaliśmy się iść, nie bacząc na pogodę.

Zrazu były kamienie, potem — kamienie, następnie — kamienie i wkońcu — trawiasta półka, co znaczy — podejście się skończyło.

Po drodze za nami dążył uparcie jakiś «cień», który, jakoże szliśmy wolno, zbliżał się coraz bardziej.

— Czy panowie — na Rysy? — zagadnięto nas z tyłu.

— Nie — odrzekliśmy lakonicznie, oburzeni tak haniebnem przypuszczeniem: przecież, u djaska, szliśmy na problem.

«Cień», albowiem on to był, zadowolił się, mało zachęcającą do dalszej rozmowy, odpowiedzią, minął nas w milczeniu i pokuśtykał w górę nierównym krokiem.

A zatem skończył się bezkreśny piarg, buty zostały na trawiastej półce; związaliśmy się liną i bez większych trudności przeszliśmy tę — «ich» (J. Ch. i M. Ś.), nie naszą, «Charakterystyczną Płytę»... «Wrrrr!».

Jeszcze kwadrans — i byliśmy u wejścia w komin.

Tu zmieniłem się z towarzyszem, który poszedł na pierwszego.

«Nu — dobrze, panoczku» — komin był mokry: dość liczne, lecz kruche stopnie ociekały wodą. Pomimo tego, asekurowany zgóry, nie zdjąłem tenisówek, zwłaszcza, że szło się przeważnie zapieraniem i można było wyszperać gdzieniegdzie suche miejsca.

Tymczasem szare chmury ogarnęły niebo.

Gdy byłem w połowie komina, nagle lunął deszcz, lunął, jako sto sikawek policyjnych na centymetr kwadratowy. W mgnieniu oka dno komina zamieniło się w wezbrany potok.

Na głowę mi spadał istny wodospad: strumienie wody wlewały się w rękawy, i spływając przez koszulę, krążyły po tułowiu, by potem wytrysnąć cienkiemi strugami z dolnych części garderoby. Przy zapięciach pumpów utworzyły się obrączkowe jeziorka z odpływami w głąb pończoch.

Nie mogłem się zatrzymać, nie miałem nawet dość czasu i miejsca, żeby zdjąć tenisówki: ze ślepą rozpaczą parłem w górę.

Gdy doszedłem do stanowiska towarzysza, byłem przemoknięty do nitki, zdawało się, że każdy atom mego ubrania pływał w soczystej wilgoci..., «jak na początek to nieźle» — rzekł Turek wbity na pal.

Towarzysz miał się trochę lepiej, gdyż jego wiatrówka posiadała nietylko tę właściwość, co moja, że nie mogła wyschnąć po zmoknięciu, ale chwilami nawet nie przepuszczała części spadającej nań wody, pozatem przechodził przez komin przed rozpoczęciem ulewy.

Z przewieszonego progu nad nami chlustały strumienie wody.

U dołu, na lewo, świeciła się w rozprószonem deszczowem świetle nasza «Charakterystyczna» — groźna i niedostępna.

Piorun uderzył w pobliżu i z turkotem wtoczył się w plusk deszczu.

Z trudem, dygocąc z zimna, wygrzebałem szczelinę, w którą wbiłem w gorączkowym pośpiechu hak asekuracyjny — trzymał się mocno.

Szedłem znów pierwszy po kruchych, przewieszonych stopniach... Wszystko było w wodzie.

Wkońcu wydobyłem się, po przejściu najgorszych kilku metrów, na trawiastą platforemkę — tuż nad wielką płytą. Wbiłem drugi hak, tym razem niepewny.

Za chwilę towarzysz stanął przy mnie; zmieniliśmy się znów... Przewinięcie się przez śliski występ nad płytą — i jeszcze kilka minut dość łatwej wspinaczki wyprowadziło nas na nietrudne trawiaste zbocze.

Deszcz przycichł. Było bardzo zimno. Nogi ślizgały się na mokrej trawie. Zboczyliśmy nieco z drogi na niewielkie pięterko żlebu, aby trochę odpocząć po «kąpieli».

Wydobyłem z plecaka marynarkę, stanowiącą własność mego towarzysza, która była sucha — sucha! Z niewysłowioną rozkoszą zrzuciłem z siebie mokry kompres ubrania i wcisnąłem ją na swe drżące członki.

Białe mgły długiemi pióropuszami wdzierały się w niebo; smugi skłębionych, pomarańczowych obłoków tworzyły wspaniały kontrast z ciemnym błękitem i czarnemi cieniami dymiących się grani. Widok był wspaniały, a akompanjament moich zębów, które z niewiarogodnem wirtuozowstwem wygrywały melodję «Deszczowej Sonaty», wielokrotnie pomnażał jego impresjonistyczne piękno.

Wkrótce ruszyliśmy dalej spadzistem zboczem, okrytem trawą; wspinaczka była łatwa, ale nieprzyjemna i dałaby się najtrafniej porównać z silnem zakatarzeniem. Mokra oślizgła lina obrzydliwie zacinała się na każdym kroku — była lepka i ciężka, jak kiepski dowcip powiedziany nie w porę, sztywna i nieugięta, jak umysł fanatyka.

Wreszcie niedaleko przed nami ukazało się wcięcie przełęczy.

Droga nie wydawała się trudną. Szedłem pierwszy z plecakiem: wygramoliłem się na niewysoki próg, przeszedłem niemiłą, śliską przewieszkę, i zostało mi jeszcze jakie $1^1/_2$ metra do końca trudniejszej części — dalej droga była jak marzenie, jak szosa, jak na Zawrat. Te jednak $1^1/_2$ metra odznaczały się niesamowitą śliskością, a powiedzenie, że obfitowały w chwyty, zakrawałoby zlekka na przesadę: krótka rysa pod przewieszką, ograniczona u dołu maleńką, stromą płytką.

Zaklinowałem się w szczelinie i... nie zdążyłem się przestraszyć, nie miałem czasu się zdziwić — worek mnie wypchnął — poleciałem... W ostatniej chwili zdołałem obrócić się tyłem do ściany.

Skoczyłem około 5 metrów nogami na mały stopieniek, odbiłem się, jak piłeczka pingpongowa, i poleciałem dalej. Skoczyłem znów — na gładką płytę, nie ustałem, usiadłem, podskoczyłem jak żabka, i wylądowałem na piarżystej platforemce.

Ogółem zleciałem około 10 metrów, ale mimo tak znaczną wysokość nie odniosłem, poza ogólnym wstrząsem i lekkiem podrapieniem rąk i nóg, żadnych obrażeń.

Wstałem natychmiast, choć zawartość głowy krążyła w powiewnym walczyku, zmuszając mnie iść na lewo, jeżeli chciałem trafić w prawo. Jako też stąpiłem w lewo i trafiłem w prawo, gdzie stał mój towarzysz. Wyraz

twarzy miał dość pergaminowy, gdyż jego ręczna asekuracja z niepewnego stanowiska w przypadku silniejszego szarpnięcia musiałaby niezawodnie puścić, a wtedy:

«Co to za marmelada? — Mały Jaś powiada. — To twój tatuś ukochany — Przez samochód przejechany».

Po krótkim odpoczynku i niedługiej wspinaczce znaleźliśmy się wreszcie na «Byczej».

A było na niej zaiste «byczo», gdyż dął niesamowicie zimny, przeszywający wiatr i wszystko okrywał siwiuteńki szron.

Naprędce zwinąwszy linę, podążyliśmy zrazu usypistym żlebem, a potem długim labiryntem trawiastych zachodów nadół — ku Dolinie Żabich Stawów Mięguszowieckich.

Późnym wieczorem wkroczyliśmy w stroju brudnym, mokrym i niedbałym, lecz przepojeni dumą zwycięstwa, na szklaną werandę Popradzkiego Schroniska, budząc wielkie poruszenie wśród nielicznej publiczności.

W kąciku siedziało polskie towarzystwo, w którem między innemi znajdował się także «Cień»...

«Powojować, powojować, a potem — harbata pić» — ponoć zwykł był mawiać generał Żeligowski.

Więc, uważając, że «my dość powojowawszy», zabraliśmy się do «harbaty».

WŁODZIMIERZ FIRSOFF

DYSKUSJA O PRZYSZŁOŚCI TATERNICTWA

DOLOMITY? — ALPY!

Przyszłość taternictwa zawsze silnie wszystkich taterników interesuje rozmaicie bywa przewidywana, nie dziwię się zatem, że mój artykuł «Droga do wielkości» wywołał sprzeciw A. Czermińskiego[1]). Zagadnienie jest na tyle ważne, że usprawiedliwia moje ponowne zabranie głosu.

Polemika z artykułem A. Cz. sprawia pewną trudność z tej przyczyny, że autor załamał się w swych dowodzeniach i sam w punktach 8-mym i 9-tym zaprzeczył właściwie punktom 1—7! Niewiadomo więc, co z tego pozostało ważne, a co nie. Nie wdając się zatem w szczegóły, w których nieraz A. Cz. ma rację (pkt 5-ty!), wykażę że założenia jego rozumowania są błędne.

Motywem przewodnim jego artykułu jest niewątpliwie zdanie: «w górach pozatatrzańskich leży jedynie przyszłość alpinizmu polskiego, ale nie taternictwa». Tymczasem tak hasło Kordysa, jak mój artykuł, używa słowa «taternictwo» w znaczeniu najogólniejszem — polski ruch wysokogórski. Oto jedno zasadnicze nieporozumienie. Po drugie ja w swym artykule szukam programu dla elity taternickiej, A. Cz. natomiast pisze wyraźnie, że to nieodpowiada «nam wszystkim którzy chcemy się dopiero wybić». Z tych powodów cały jego wywód, o ile przeciw mojemu artyku-

---

[1]) Por. art «Weźmy stamtąd przykład» w poprz. zesz. «Taternika». Nazwisko jego autora brzmi: A. Czermiński.

łowi jest wymierzony, najzupełniej mija się z celem — nie trafia i trafić nie może żadnego z moich argumentów.

Ale i ze swego stanowiska popełnia A. Cz. niewątpliwe błędy, ulega widocznym złudzeniom. Zobaczmy bowiem, co z Dolomitów wziąć możemy według A. Cz. Dwie rzeczy: przejścia ściśle w linji spadku szczytu, czyli metodę oddawna w Tatrach znaną i wykonywaną, więc i nie nową, oraz rekordy czasowe, nie mające — powiedzmy to odrazu — w Tatrach, w górach małych, najmniejszego sensu i celu.

Istotnym bowiem sensem i rozumnym celem rekordów czasowych w alpinizmie nie jest bynajmniej skrócenie czasu przejścia danej drogi (5 godzin zamiast 12) samo w sobie. Chodzi tu natomiast o takie udoskonalenie techniki i szybkości, by jakąś drogę, wymagającą dotąd 2 czy 3 dni, przebyć w jednym dniu, a przez to niepomiernie zmniejszyć ryzyko wyprawy [1]). Takich dróg w Tatrach nie mamy i mieć nie będziemy, gdyż nigdy ich nie stworzy proponowane przez A. Cz. łączenie kilku odrębnych dróg w jedną wyprawę, co jest zresztą słabym surogatem problemu. Zatem nic nowego, nic istotnego z Dolomitów nie przyjdzie, bo przyjść nie może.

Znając doskonałe nader ograniczone możliwości tatrzańskie chcemy, by taternicy wyszli poza Tatry. Tylko w tym wypadku taternictwo nie będzie się musiało obracać w koncepcjach sztucznych i małych, ale będzie mogło uzyskać sukcesy najszerszej nawet miary. Niech przyjdą czasy, gdy Tatry będą grały w taternictwie tę tylko rolę, co Dolomity w alpinizmie! Wołanie A. Cz. «taternikowi nie wolno wzgardzić Tatrami» jest równie efektowne jak nieracjonalne. Czyż maturzyście zapisującemu się na uniwersytet zarzucamy, że gardzi szkołą średnią?

Automatycznie, od chęci naszych niezależnie, dokonuje się zepchnięcie Tatr do roli boiska. Nie wolno nam się zamknąć na jego terenie.

Jan K. Dorawski

W SPRAWIE TATERNICTWA BOISKOWO-SPORTOWEGO

P. A. Czermiński propagując taternictwo «boiskowo-sportowe» zapomina, mojem zdaniem, o rzeczy najważniejszej — oto istota sportu wysokogórskiego (taternictwa, alpinizmu) nie polega bynajmniej tylko na wykonywaniu pewnych skoordynowanych ruchów w kominie czy na trawersie, równie ważną rolę odgrywa tutaj ryzyko, spowodowane przez niebezpieczeństwo objektywne a nie subjektywne, przyczem sama technika wspinania się jest sprawą raczej drugorzędną. Bez tego czynnika, pochodzącego z zewnątrz a w zupełności niezależnego od naszej sprawności fizycznej, nie może być mowy o prawdziwym sporcie wysokogórskim. I dlatego bieganie na czas po Batyżowieckiej Grani w najlepszym razie będzie lekkoatletyką a nie taternictwem. W małych Tatrach, w miarę jak się je coraz lepiej poznaje, niebezpieczeństwa objektywne maleją do minimum, stąd prosty wniosek, że trzeba jechać w Alpy aby módz uprawiać — taternictwo. Na tem, jak sądzę polega również słaba strona wywodów p. Czermińskiego, które notabene poważnie szkodzą samemu taternictwu.

Jan Kiełpiński

[1]) Obecnie uznaje się jedno tylko niebezpieczeństwo objektywne: niepogodę. Oczywiście groźba ta zwiększa się wraz z długotrwałością wyprawy. — Identycznie niemal zapatruje się na tę kwesję nie kto inny jak twórca najkapitalniejszych «rekordów czasowych» w Alpach, G. W. Young, który pisze «szybkość nie jest to ściganie się, lecz dostosowanie długości drogi do długości dnia» (por. niem. wyd. «Szkoły gór», str. 71).

KOMFORTOWA KOLEBA

1. Połączenie obu powyższych wyrazów stanowi pozornie paradoks, gdyż z jednej strony każda koleba siłą faktu musi być prymitywna, z drugiej zaś właśnie poto mieszka się w kolebach, aby zerwać chwilowo z wygodami cywilizacji. Pojmijmy jednak «komfort» w sensie czysto taternickim, a niedorzeczność zniknie. Co więcej: wyłoni się ważne zagadnienie, warte wielostronnego rozważenia. Spróbujmy je zatem podjąć.

2. *Rozmiary* są jedną z najważniejszych cech dobrej koleby. Wysokość powinna wynosić ok. 150 cm, by móc wygodnie klęknąć bez zginania się. Długość nie może być mniejsza niż 175 cm, inaczej zmusza do niewygodnej skurczonej pozycji podczas snu. Szerokość różna — jednak przynajmniej 120 cm.

3. Rozmiary powyższe — łącznie z nachyleniem stropu, o czem niżej — decydują o *pojemności* koleby. Najwygodniejsza i najwłaściwsza jest koleba dla 3—4 osób z bagażem. Większe przeważnie są b. zimne. Rozmiary te są ważne również i ze względu na możliwość *rozpinania namiotu* wewnątrz koleby. (Opis tego będzie podany w «Dziale technicznym» «Taternika»).

4. *Strop koleby* powinien tworzyć jedną płytę, «zrośniętą» z tylną ścianą, i opadać ku wylotowi («drzwiom») koleby. Jedynie pod tym warunkiem chroni przed zaciekającym deszczem. W razie przeciwnego nachylenia można zaciekanie zmniejszyć zapomocą pociągnięcia stropu kilku poprzecznemi «kreskami» z nagrzanej parafiny, wzgl. masła.

5. *Stałą suchość* koleby osiągniemy, budując ją na łatwo przepuszczalnym gruncie i to najlepiej na wzgórku. Nadto żadna ze ścian nie może mieć otworu, którędy zaciekałyby strumienie wody, płynącej po powierzchni ziemi (np. podczas słoty).

6. *Ciepłota* koleby zależy w pierwszym rzędzie od grubości okrywających ją skał. Koleba pod samotnym blokiem będzie zawsze cieplejsza, niż pod litą skałą, a to zarówno dzięki rozgrzaniu kamienia przez słońce, jak wszechstronnemu dostępowi ciepłego powietrza. *Ciepłota* ta zależy dalej od szczelności obudowania głazami i od omszenia ich darnią, wzgl. zaprawienia ich betonem, pozatem od kierunku wylotu «drzwi» i ewent. «okien», które o ile możności powinny koniecznie zwracać się ku pd.-wsch.[1]). Boczne murki koleby buduje się w ten sposób, że na spód kładzie się wielkie głazy, silnie wystające «na dwór», na nich zaś coraz mniejsze i mniejsze. Zamiast zaprawy murarskiej stosujemy — już podczas dopasowywania kamieni — płaty świeżej murawy, zapomocą której wypełniamy jak najszczelniej wszelkie szpary, następnie polewając ją wodą, aby się przyjęła i zakorzeniła. Jeśli się źle trzyma, utykamy ją między głazy murka zapomocą klinowatych kamieni, wbijanych młotkiem turystycznym i ew. hakiem. Toż samo robimy z najwyższemi «cegłami», które jak najsilniej (najlepiej zapomocą kamiennych «młotów») wbijamy poziomo pod sklepienie — oczywiście tak głęboko, aby podczas deszczu strumienie wody spływały z dachu koleby już na zewnętrzną stronę murka.

Ciepłotę koleby warunkuje wreszcie jej odległość od wody. Nie należy też budować koleby w zasięgu wiosennych (a tem bardziej letnich) śniegów.

7. *Zaciszność* koleby jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, wpływającą z jednej strony na *ciepłotę*, z drugiej na ogromną *oszczędność* świec i spirytusu, a zatem czasu, oczu, płuc i nerwów. Wzgląd, że w przeważającej ilości dolin wieją stałe wiatry północno-zachodnie, jest jeszcze jednym argumentem na zwracanie wylotu

---

[1]) Warto tu przytoczyć ciekawy szczegół, że ptaki gnieżdżą się tylko w takich dziuplach i skrzynkach, których wylot zwraca się ku pd. lub wsch. Dzięki temu tak wcześnie usypiają i tak wcześnie się budzą. Czynnik ważny i w taternictwie.

ku pd-wsch. Ewent. «okno» winno być po tej samej stronie co «drzwi». Tym sposobem uniknie się przykrego przewiewu w kolebie.

8. *Dno koleby* winno zlekka opadać — i to ku wyjściu. Głazy, wystające z dna, należy zawczasu wyważyć z podłoża, najlepiej zapomocą czekanów, uważając jednak, by nie obruszyć stropu, jeśli ten ostatni leży na murkach bocznych. W razie niemożności wyważenia trzeba zawadzający głaz rozłupać kamieniami lub żelazem (hakiem turystycznym i młotkiem).

9. *Podściółkę* sporządza się z trzech warstw. Spodnią stanowi darń, wzgl. borowina, którą z pomocą czekana, młotka, haka i noża możemy całemi płatami odrywać z podnóża każdego samotnego głazu. Po ułożeniu jej na kamiennym podkładzie należy ją silnie ubić nogami. — Środkową warstwę układamy z drobnych kitek kosodrzewiny (1 pełny plecak starczy dla 3—4 osób)[1]. — Wierzchnią — dla ilozacji od żywicy i gniotących gałązek — ścielimy z traw i ziół (2 plecaki na powyższą ilość osób). — Podściółka taka wystarczy na kilka lat, jednak z biegiem tego czasu zsycha się, traci sprężystość i wytwarza dokuczliwy kurz. Należy ją więc wówczas spalić i zastąpić nową.

10. «*Sprzęty*» koleby składają się z dużych płaskich kamieni, na których można rozłożyć wszystkie potrzebne przedmioty. «Stół» powinien wznosić się ok. ½ m powyżej posłania i leżeć zboku, lecz w miejscu, łatwo dostępnem wszystkim biesiadnikom — inaczej jest źródłem ciągłych irytacyj. «Półki» najlepiej spełniają swe zadanie, jeżeli wystają z tylnej ściany nad głowami leżących.

11. *Piec w kolebie* jest dzisiaj — wobec worków do spania i maszynek spirytusowych[2]) — czemś zupełnie niepotrzebnem, a nawet szkodliwem. Daje on z reguły więcej gryzącego dymu, niż ciepła, a przyczynia się do masowego wyrębu kosówki dokoła koleby[3]). Stąd *odległość koleby od kosodrzewu* jest dziś — poza okresem jej wyścielania — czynnikiem zgoła obojętnym, a nawet pożądanym. *Odległość od wody* jest natomiast rzeczą pierwszorzędnej wagi. Źle, gdy ona wynosi kilkaset metrów[4]), ale źle również, gdy potok przepływa tuż obok koleby, gdyż wywołuje to stałą wilgoć, chłód, mgłę i męczący, zwłaszcza w nocy, szum. Nadto dno takiego strumienia przeważnie b. prędko staje się najwstrętniejszym śmietnikiem. Najwłaściwsza odległość wynosi ok. 50 kroków. O ile nie posiada się składanego bukłaka, najlepiej nosić wodę w nakrywkach od blaszanych pudeł turystycznych. Do wody, dalej położonej, powinna prowadzić pozioma wygodna perć. Nakoniec *odległość od ścieżki* powinna być dość duża, t. zn. przynajmniej 100—150 kroków. Koleba leżąca tuż obok perci, jest fatalna, zarówno z tej przyczyny, że naraża swych mieszkańców na ciągłe oględziny ze strony ceprów — jak z tej, że w razie założenia bazy operacyjnej na czas dłuższy wymaga codziennego pakowania rzeczy i ukrywania ich zdala pod głazami (możliwość okradzenia). Odnoga perci, wiodąca do koleby, powinna być zatem jak najmniej widoczna i wybiegać z koleby w przeciwnym kierunku, niż dostęp do wody.

12. *Łatwa rozpoznawalność* koleby — mimo ukrycia jej przed oczyma niepowołanych — jest rzeczą ogromnie ważną i ma być możliwa nawet podczas mgły, wichury i w nocy. Da się ona osiągnąć dwojako: albo zapomocą dokładnego opisu dojścia, albo zapomocą podania zdala widnych znaków szczególnych.

---

[1]) Dla uspokojenia «ochroniarzy» zaznaczam, że kiści tych nie obrywa się z jednego krzaka, tylko «potrochu» z dużego łanu.

[2]) a nadto... wobec *psychicznej* różnicy między turystą dzisiejszym a dawniejszym, który (osobiście lub przez górala) podtrzymywał watrę przez całą noc... dla kurażu.

[3]) Ze znanych mi koleb na szczęście jedynie dwie posiadają piec: koleba w Dol. Kamiennego Stawu oraz Batyżowiecka. Naokoło obu wyrąbano już kosówkę w ogromnym promieniu, tworząc istne rany w krajobrazie.

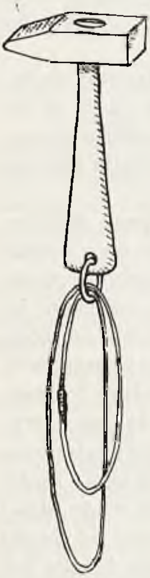
[4]) Np. koleba Batyżowiecka odległa jest od wody o 10 minut drogi, co zmusza do «stołowania» się nad odpływem stawu często wśród b. złej pogody.

13. *Śmietnik* w pobliżu każdej koleby jest rzeczą konieczną. Powinna to być głęboka czeluść między maliniakami, mogąca scentralizować wszelkie odpadki. Coś podobnego *a fortiori* odnosi się do *miejsca ustępowego.*

14. Oczywiście całokształt powyższych postulatów stanowi *program maksymalny*, którego spełnienie nadaje kolebie swoisty «komfort», ale wystarczy, aby odpowiadała ona połowie powyższych wymagań. Zdaniem fanatyków «pozaschroniskowego bytowania w Tatrach» i tak będzie ona o wiele więcej warta, niż najlepiej nawet wyposażone schronisko. W. BIRKENMAJER

DZIAŁ TECHNICZNY „TATERNIKA"

III. JESZCZE O PĘTLI U MŁOTKA TURYSTYCZNEGO.



W «Taterniku» z b. r., str. 9, ukazał się na tem miejscu artykuł pióra p. W. Birkenmajera o nowych pętlach u młotka turystycznego. Autor uzasadnia szczegółowo zalety używanej przezemnie podwójnej pętli z rzemienia, proponując jeszcze większe jej skrócenie w czasie nieużywania młotka przez zastosowanie trzech zwojów. Wydaje mi się to o tyle niedogodnem, że zdejmowanie pętli z szyi poprzez głowę musi się odbywać dwukrotnie, co grozi splątaniem pętli, nie mówiąc już o stracie czasu i zwiększonem niebezpieczeństwie utraty nakrycia głowy lub okularów używanych przez niektórych taterników. Natomiast zawieszenie młotka na plecach na nieco dłuższej pętli pozwala na wsunięcie jego głowicy pod pasek lub pętlę zjazdową, którą taternik zazwyczaj jest opasany, przez co młotek zostaje unieruchomiony.

Jedną z głównych przyczyn stosunkowo częstych wypadków urywania się młotków jest duże tarcie pętli o powierzchnię drzewa w otworze styliska. Przy zastosowaniu dwóch lub trzech otworów tarcie uniemożliwia swobodne przesuwanie pętli, przyczem większa ilość otworów u młotka osłabia stylisko i skraca jego część użyteczną. Niedogodność tę usunąłem przez zastosowanie metalowego kółka przepuszczonego w płaszczyźnie prostopadłej do osi głowicy młotka przez otwór w stylisku. Pętla przechodzi zupełnie swobodnie przez obszerne kółko.

Często zacinanie się pętli jest wywołane przez węzeł wiążący jej końce. Należy go zastąpić przez zszycie ramienia.

Przy okazji należy zaznaczyć, że stylisko młotka powinno się rozszerzać w miarę oddalenia od głowicy, co daje znacznie pewniejszy uchwyt i nie pozwala na wymknięcie się młotka z dłoni.

H. MOGILNICKI

MATERJAŁY DO HISTORJI TATERNICTWA

X. W SPRAWIE TATRZAŃSKIEGO ITINERARJUM STASZICA

(Z powodu «*Dziennika podróży Stanisława Staszica 1789—1805*».[1])

Pisząc w 1928 r. recenzję kapitalnej rozprawy M. Świerza pt.: «Stanisław Staszic w Tatrach» (Lublin 1926) zaznaczyłem na końcu (por. Taternik z 1928 r., nr. 3), że «pozostanie ona na zawsze przełomową w badaniach nad Staszicem w Tatrach i więcej światła w tym arcyciekawym temacie dać mogą tylko nieogłoszone dotąd rękopisy autora Ziemiorodztwa, jeśli są wśród nich Tatr się tyczące». To też z najwyższem zaciekawieniem brałem do ręki spory tom (str. LXVI i 515) zawierający przedruk rękopisów Staszica, znajdujących się obecnie w dziale manuskryptów war-

[1]) Z rękopisu wydał Czesław Leśniewski. Kraków 1931, Wyd. Polskiej Akademji Umiejętności.

szawskiej Bibl. Uniwersyt., oraz w bibljotece hr. Przeździeckich w Warszawie, tembardziej, że wśród tych rękopisów znajdował się spory plik zapisków pt. «Staszyca Dzienniki własnoręczne Podróży geologicznych po kraju i zagranicą w latach 1797 do 1805». Można się było zatem spodziewać, że szereg zagadek nasuwających się badaczowi, śledzącemu kroki Staszica w Tatrach, znajdzie teraz rozwiązanie, lub choćby częściowe tylko wyjaśnienie. Odrazu trzeba zaznaczyć, że przestudjowanie tych zapisków nie tylko nadziei powyższych nie spełnia, ale całe zagadnienie itinerarjum tatrzańskiego Staszica jeszcze bardziej zaciemnia. Przedewszystkiem dlatego, że na przestrzeni lat od 1789—90 i od 1795 do 1805 znajdujemy tylko jeden rozdział (str. 415—435) poświęcony podróży tatrzańskiej, jakkolwiek na podstawie lektury «Ziemiorodztwa» nie ulega wątpliwości, że było tych podróży więcej. Ale nawet w tych skromnych granicach, obejmujących okres dwutygodniowy od 3 do 16 sierpnia 1805 r., znajdujemy niespodziewanie zapiski, których nietylko niepodobna rozumnie umiejscowić wśród niezbicie — jakby się zdawać mogło — ustalonych na podstawie «Ziemiorodztwa» dat poszczególnych wypraw, ale które nawet same dla siebie wzięte, są — częściowo przynajmniej — zagadkowe i niezrozumiałe.

W oświetleniu tych notatek Staszica rysuje się on jako podróżnik zarówno małokrytyczny, jak i pozbawiony w wysokim stopniu pamięci co do następstwa zdarzeń. Daty wpisane przez Staszica są niepewne. Nawet tam, gdzie dla wzmocnienia daty miesiąca dopisuje dzień tygodnia, i to wówczas, gdy obie zapiski zgadzają się ze sobą. Tak np. wiemy z «Ziemiorodztwa» (str. 83), że w dniu 1 sierpnia 1805 r. był na Babiej Górze i o godz. 6-ej wiecz. w Spytkowicach, gdzie po godz. 8-ej wiecz. zerwała się gwałtowna burza z ogromnym gradem. W cztery godziny po ustaniu burzy oglądał Staszic przy Spytkowicach sztukę lodu długości 1½ stopy, a grubą i szeroką na stopę i trzy cale. W «Dzienniku podróży» pisze, że «dnia 1 sierpnia była nawałnica w nocy o godz. 9 w czwartek na piątek... W okolicach Spytkowic i Rokicin sztukami wielkiemi spadał lód. Nazajutrz z rana sztuka lodu znaleziona na 3 stopy kwadratowe i na 3(!) stopy gruba, którą dwóch chłopów dźwignąć ledwo dołało, przezroczysta i barzo gładka». Dzień 1 sierpnia 1805 r. przypadał w rzeczy samej na czwartek. Jednakże podany w «Ziemiorodztwie» (str. 83) stan barometru przed i po burzy w nocy z 1 na 2 sierpnia zapisany jest w «Dzienniku» pod datą 4 sierpnia, w którym to dniu przejechał S. z Gdowa (koło Bochni) przez Dobczyce, Myślenice, Pcim do Rabki ew. Spytkowic. Natomiast nocy z 1 na 2 sierpnia nie mógł — według «Dziennika» — spędzić w Spytkowicach, gdyż tenże sam «Dziennik» każe mu w dniu 3 sierpnia wyruszyć z Dobiesławic w Ziemi Kieleckiej do Bochni i Gdowa i przeprawić się przez Wisłę pod Sierosławicami. Wedle «Dziennika» jest zatem niepodobieństwem, aby Staszic 1 sierpnia był na Babiej Górze.

Tego wszystkiego w rozumny sposób pogodzić niepodobna, a w każdym razie nie tłumaczy zagadki uproszczony proceder wydawcy «Dziennika», który w sposób w wydawnictwie naukowem niedopuszczalny zamienia poprostu datę 1 sierpnia na 4 sierpnia (str. 416), tłumacząc we wstępie (str. XXXIX), że słowa «w czwartek na piątek» są omyłkowo użyte zamiast «z czwartego na piątego» (!). Wydawca najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, iż przyjęcie, że Staszic jedząc obiad w Pcimie (ok. 10 km na południe od Myślenic) zdołał w czasie do godz. 6 wiecz. wyjść na odległą w linji powietrznej o 38 km Babią Górę i zejść z niej aż do Spytkowic, jest absurdalne.

Zupełnie niejasną jest też zapiska pod datą 13 sierpnia. Dnia poprzedniego był Staszic na Szczycie Sławkowskim. Jakkolwiek szczyt ten nazywa Kolbachem Wielkim, a więc nazwą, którą w «Ziemiorodztwie» oznacza Kołowy — nie ulega najmniejszej wątpliwości, że szczyt na który wyszedł 12 sierpnia 1805 r. jest Sławkowskim. Opis drogi, zdanie «na dole pod Kolbachem są wody kwaśne i kąpiele, zwane Sławków», a nawet pomiar barometryczny, wyklucza wszelkie wątpliwości [1]). Otóż

> «następnego dnia czyli 13 pojachałem równinami, mając przewodnika Petra z Staroleśnej Wsi, w hole Wielki Grun, w którym są hotary wielkosławkoskie i potężna i najwyższa góra z Tatrów, zwana Wielka albo góra Łomnica, albo Wielki Grun. Ta jest najwyższa, łatwa do wchodu, ale w cyplu opadła i przykra. Barometre spadł 19 calów i 10 linjów, a termometr znaczył 7. Wiatr od północy, zimny. Śniegi i lody po holach głębokich od południa rzadsze od północy wielkie. Z niej widać Krywon, Kolbahy, Pięć Stawów, Rybie jezioro etc. etc.»

Dalej:

«Dnia 13 wyjachałem napowrót przez Magórę o południu».

---

[1]) Twierdzenie moje i Świerza, że Kolbach Wielki z «Ziemiorodztwa» jest identyczny za Szczytem Kołowym nie doznaje w związku z zapiską z 12 sierpnia 1805 — najmniejszego zachwiania.

Z dalszych zapisków widać, że «o południu» wyjechał ze stosunkowo daleko od Tatr położonej Wsi Słowiańskiej (Windschendorf), położonej o 5½ km na półn.-zachód od Białej Spiskiej, na wysokości 650 m. O godz. 3 pop. był Staszic już na najwyższym wierzchołku Magóry (1215 m) i czynił pomiary, na noc zaś przyjechał do Niedzicy. Czyż taka olbrzymia marszruta w jednym dniu była wogóle możliwa? (Pomijam szczegół, że dokonany wówczas na Łomnicy pomiar barometryczny odpowiadałby wysokości szczytu ponad 3000 m). W każdym razie wyprawa na Łomnicę z dnia 20—22 sierpnia 1805 r. opisana w «Ziemiorodztwie» nie ma nic wspólnego z wycieczką, zamieszczoną w «Dzienniku» pod datą 13 sierpnia tegoż roku.

Pierwszym szczytem tatrzańskim zwiedzonym w wyprawie sierpniowej Staszica z 1805 r. jest Krywań zrobiony w dniu 8 sierpnia. Okazuje się zatem, że data 12 sierpnia ze strony 106 «Ziemiorodztwa» jest mylna, a z nią też próba rekonstrukcji itinerarjum Staszicowego z 1805 r. podjęta przez , wierza (również moja hipoteza, zawarta w odsyłaczu **) na str. 59 «Taternika» z 1928 r.). Jeżeli porównamy ze sobą pomiary barometryczne na szczycie Krywania, zawarte w «Ziemiorodztwie» (str. 111) i w «Dzienniku» (str. 419) odnosi się wrażenie, że ma się tu do czynienia z dwiema odrębnemi wyprawami Staszica. — Drugą wycieczką tatrzańską z sierpnia 1805 r. jest wyprawa do doliny Kieżmarskiej i Dzikiej, 11 sierpnia. Jest ona identyczna z opisaną w «Ziemiorodztwie» str. 167 n. — Trzecią jest wzmiankowane już wyjście na Sławkowski 12 sierpnia, czwartą rzekome zwiedzenie Łomnicy w dniu 13 sierpnia. Na tem wyczerpuje się tatrzańskie itinerarjum «Dziennika». Widać z tego, że większość wypraw tatrzańskich opisanych w «Ziemiorodztwie», dokonana została w innym roku, a nie w 1805, co przewidywałem w mojej recenzji z rozprawy Świerza (l. c.).

W oświetleniu powyższych uwag, staje się widoczne, że — wbrew spodziewaniom — przyczynki do itinerarjum Staszica zawarte w «Dzienniku» nie przynoszą — poza kilku szczegółami — nowego materjału, a w każdym razie nie wiele rozszerzają dotychczasowe nasze w tym względzie poglądy.

Słów parę należy się wydawcy. Praca dokonana przez niego, polegająca na odszukaniu i uporządkowaniu rękopisu była olbrzymia, bardzo skrupulatna i sumienna, nie stoi jednak — jak już mimochodem zaznaczyłem — na wyżynie prawdziwie naukowej, co jest tem dziwniejsze, że rzecz została wydana staraniem Polskiej Akademji Umiejętności. W zakresie zagadnień tatrzańskich wydawca nie orjentuje się. Nie odróżnia np. doliny Kolbacha od szczytu Kołbacha (str. 421), a Chróścińskiego (!) wymienia jako autora, który zapoczątkował tezę o zdobyciu Lodowego Szczytu przez Staszica. W każdym razie fragment tatrzański «Dziennika» zasługuje na poważne z rękopisu opracowanie, jak również powinny być ponowione poszukiwania za istniejącymi najprawdopodobniej zapiskami Staszica z wypraw tatrzańskich z lat 1802 i 1804.

R. Kordys

XI. PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW GIERLACHU

Do 1878 r. zwiedzono główny wierzchołek Gierlachu już wielokrotnie, ale prawie wszyscy turyści wchodzili i schodzili od strony Kotła Gierlachowskiego. Wchodzono wprawdzie już wówczas parę razy przez Batyżowiecką Próbę, ale była to droga jeszcze mało znana. Pierwsi przeszli ją przewodnicy ze Stwoły: Jan Pasternak i Jan Ruman ok. 1875 r., poczem w 1876 r. poprowadzili tą drogą prof. Franciszek Denés'a i trzech jego towarzyszy, ale nie dosiągnąwszy wierzchołka zawrócili z powodu niepogody, pierwszym zatem turystą, który tą drogą osiągnął wierzchołek był dopiero inż. Wiktor Lorenz w 1877 r.[1]). Następnie — myśląc początkowo, że robią nową drogę — schodzą przez Batyżowiecką Próbę we wrześniu 1878 r.: dr. Tytus Chałubiński i dr. Stanisław Kruszyński z Józefem i Wojciechem Rojami, Szymonem Tatarem i może paroma jeszcze góralami [2]).

Tyle tylko dotychczas było wiadome o wejściach przez Batyżowiecką Próbę do 1878 r. włącznie. Jednakże w tymże 1878 r. odbyło się jeszcze jedno wejście tą drogą, tem ciekawsze, że dokonali go Anglicy i to zapewne jeszcze przed Cha-

---

¹) Tyle podaje «Przewodnik po Tatrach» J. Chmielowskiego, tom III, str. 150.

²) W wycieczce Chałubińskiego uczestniczyło dziewięciu górali, oprócz wymienionych powyżej także Jan Gronikowski, Bartłomiej Obrochta, Jan Krzeptowski Sabała i Wojciech Ślimak, ale tylko o Rojach i Tatarze wiadomo napewno, że byli na wierzchołku, albowiem część górali pozostała na dole przy pakunkach (Tytus Chałubiński: «Sześć Dni w Tatrach...» w «Niwie», Warszawa 1879 i w «Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego», tom IV, 1879).

łubińskim. Jest to zatem trzecie wejście przez Batyżowiecką Próbę, a zarazem pierwsze wejście turystów zachodnio-europejskich na Gierlach. Anglicy ci, to dwaj znani alpiniści: Viscount James Bryce i Sir Leslie Stephen, a ich przewodnikiem był Jan Ruman, jeden z odkrywców powyższej drogi. Bryce pozostawił nawet opis swej wycieczki w Tatry, już dwukrotnie drukowany, ale w Anglji, czem się tłumaczy fakt, dlaczego o jego pobycie w Tatrach nic dotychczas nie wiedziano. Z Anglików, nie pierwszy zresztą Bryce zawadził o Tatry: już przed nim zwiedzali je Robert Townson, John Ball, W. C. Forster i inni, a nawet jakaś młoda Angielka przeszła w 1876 r. przez Polski Grzebień.

Bryce był historykiem, politykiem (członkiem parlamentu) i znanym podróżnikiem, który zwiedził wszystkie części świata i pisał dużo o swych podróżach. Znał m. in. Alpy, Pireneje, Karpaty, Bałkan i Kaukaz. W świecie alpinistycznym zyskał największą sławę wejściem na Ararat, chociaż chodził także dużo po Alpach, m. i. ze Stephen'em, który zrobił z niego alpinistę. W 1899 r. Bryce był prezydentem Alpine Club'u, ale naogół był to więcej podróżnik niż alpinista, czem się różnił zasadniczo od przyjaciela Stephen'a, znanego literata i krytyka, a zarazem jednego z najwybitniejszych przedstawicieli złotej epoki alpinizmu brytyjskiego (w latach 1865—68 prezydenta Alpine Club'u, w latach 1869—72 redaktora Alpine Journal). Stephen był znany z tego, że poza Alpami nigdzie nie podróżował, ale udało się Bryce'owi dwukrotnie skłonić go do złamania tej zasady. Najprzód w 1866 r., kiedy pojechali w Karpaty wschodnie i zwiedzili parę ich najwyższych wierzchołków (które im jednak nie przypadły do gustu [1]), a po raz drugi w 1878 r. kiedy pojechali w Tatry. Wówczas to, zwiedziwszy Kraków, udali się furką do Zakopanego, gdzie dwa dni mieszkali w karczmie w Kuźnicach, robiąc krótkie wycieczki w okolicy. Następnie z polskimi przewodnikami przeszli przez Zawrat do Morskiego Oka, skąd na drugi dzień przez Polski Grzebień do Szmeksu, gdzie pozostali dwa tygodnie. Ze Szmeksu, prócz krótszych wycieczek byli na Łomnicy [2]) i, zdaje się, na Sławkowskim Szczycie. Próbowali też od Szczyrbskiego Jeziora wejść na jeden z najwyższych okolicznych szczytów (nazwa niewymieniona), ale niepogoda zmusiła ich do odwrotu z pod samego wierzchołka. Wreszcie postanowili wybrać się na Gierlach. Bryce podaje, że pierwszego wejścia na Gierlach dokonał około 1860 r. jakiś nieznany turysta, który tak samo jak i jego następcy szedł przez niższy (pd.) wierzchołek, a z niego granią na główny. Dopiero trzy lata temu, a więc w 1875 r., dwóch wieśniaków słowackich ze Stwoły znalazło nową drogę, znacznie krótszą, ale ciekawszą, trudniejszą i niebezpieczniejszą, i wyprowadziło nią na szczyt dopiero jedną osobę, Lorencz'a. Anglicy więc postanowili pójść koniecznie tą drogą, i sprowadzili w ten sposób do Szmeksu owych Słowaków, którzy jednak niespodziewanie postawili dwa warunki: że pójdą obaj (Anglicy chcieli tylko jednego) i że nie będzie im towarzyszył żaden przewodnik niemiecki (za namową Döller'a, wiceprezesa Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, Anglicy mieli zabrać ze sobą także przewodników niemieckich, aby i ci mogli poznać ową nową drogę na Gierlach). Rokowania te się rozbiły, ponieważ Anglicy nie chcieli iść bez przewodnika niemieckiego, potrzebnego im jako tłumacza i wobec tego zaproponowali niemieckim przewodnikom, aby sami odszukali ową nową drogę, ale ci odmówili. (Bryce twierdzi, że byli oni gorszymi przewodnikami zarówno od Słowaków, jak i od Polaków). Jednakże pod koniec swego pobytu w Szmeksie, nie chcąc rezygnować z wejścia na Gierlach ową nową drogą, udali się obaj turyści sami do Stwoły, gdzie zastali tylko jednego z owych Słowaków, mianowicie Jana Rumana, i z pomocą nauczyciela wiejskiego, jedynego tłumacza we wsi, namówili go, aby ich zaprowadził na Gierlach. We trójkę poszli do Batyżowieckiego Stawu, skąd przez Batyżowiecką Próbę weszli na szczyt. Największą trudność stanowiła niemożność porozumienia się z Rumanem, który nierozumiał po niemiecku. Wskutek tego stracili dużo czasu w dolnej części drogi, myśląc, że Ruman zabłądził (mieli ze sobą opis Lorenz'a) i chcąc go namówić do obrania innego sposobu wejścia. Ostatecznie, powstrzymani od odwrotu jedynie ambicją, poszli tak, jak chciał Ruman, który ich zresztą dobrze wyprowadził. Wejście było jednak o tyle niełatwe, że żałowali, iż nie mieli liny, która — jak twierdzi Bryce — była wówczas nieznana w Tatrach [3]). Ruman wspinał się po skałach bardzo dobrze, ale na śniegu nie umiał sobie dać rady i wtedy role się

[1]) Stephen opisał je w artykule p. t. «Transylvania» w «Cornhill Magazine» z 1867 r.

[2]) Charakterystycznym jest fakt, że Bryce oburza się na projekt umieszczania sztucznych ułatwień na Łomnicy.

[3]) Sami przywieźli ze sobą czekany, ale te okazały się niepotrzebne.

zmieniały: prowadzeni pomagali przewodnikowi. Na wierzchołku Gierlachu stanęli o godzinie pierwszej popołudniu. Zejście odbyło się tą samą drogą do Batyżowieckiego Stawu (w niecałe dwie godziny), gdzie Anglicy pożegnali się z Rumanem, który ich namawiał do dalszych wycieczek, i wrócili do Szmeksu. Bryce podaje, że czas potrzebny na wycieczkę ze Szmeksu na Gierlach i z powrotem wynosi według Niemców, którzy są powolni, 16 godzin, ale dla Anglika wystarczy 11 godzin, a taki zwinny człowiek jak Ruman zrobiłby ją nawet w 9 godzin. Powyżej opisane wejście na Gierlach odbyło się w drugiej połowie sierpnia lub w początku września, a więc prawie napewno przed wspomnianą wycieczką Chałubińskiego.

Jeszcze jedna uwaga: Bryce jako podróżnik wyciągnął Stephen'a z Alp w Tatry, ale zato Stephen jako alpinista skłonił swego towarzysza do przedsięwzięcia wycieczek szczytowych. Gdyby nie Stephen, Bryce by zapewne nie był ani na Łomnicy, ani na Gierlachu.

Do nielicznych nazwisk Anglików, znanych w dziejach taternictwa, przybyły zatem dwa nowe.

Literatura:
Viscount Bryce: Memories of Travel, London 1923.
The Alpine Journal (krótkie wiadomości w różnych rocznikach).

H. H.

W ŚCIANIE ŻŁOBISTEGO SZCZYTU

Zapada szary mrok. Idziemy z ciężkiemi workami, szlakiem przez Psią Trawkę. Już na Hali Waksmundzkiej z radością witamy się z nocą, romantyczną nocą tatrzańskiego lasu!... Nie przeszkadza to nam jednak w urąganiu na PTT., że jeszcze dotąd nie rozjaśnił tej drogi elektrycznością. Powoli posuwamy się przez las w zupełnych ciemnościach, od czasu do czasu świecimy zapałkami, szukając znaków. Karol ubolewa, że znaki nie są świeżo malowane, moglibyśmy wówczas kierować się zapachem farby...

. . . .

Ranek, chłodny, jesienny. Wychodzę przed szałas. Niebo czyściutkie. Słońce ześlizguje się po ścianie Młynarza w dolinę. Więc... pakujemy się i idziemy!

. . . .

Odpoczywamy. Przed nami ściana, zaczynająca się mokrym, niesympatycznym kominem. Posiliwszy się, wiążemy się liną i uzbroiwszy się w haki i młotki, palimy «ostatniego w życiu papierosa» —jak zwykli mówić niektórzy taternicy. Trochę z nieufnością patrzę na strome i śliskie podnóże ściany. Ogarnia mnie uczucie, znane zresztą wszystkim taternikom, uczucie które nie pozwala mi dokończyć papierosa. Mówię o tem z Karolem. «To pewno *Steigefieber*». Śmiejemy się i już jest wszystko w porządku.

Z wejściem mamy trochę kłopotu, bo trzeba między śniegiem i ścianą przesunąć się do komina. W kominie napotykamy na pewne trudności, jak się później okazuje, w zupełnie niepotrzebnym warjancie. Ale kominek i tak jest conajmniej trudny.

Wspinamy się na zmianę w nietrudnym trawiasto-skalnym terenie. Pod «kulisą» odpoczywamy, czytamy opis i odżywiamy się, bo teraz dopiero mają się zacząć trudności.

Góry tymczasem zmieniły swoje pogodne oblicze. Z za Batyżowieckiego i Żelaznych wypełzają gęste chmury, od których odrywają się niewielkie obłoczki, by pędzone wiatrem rozpłynąć się nad Kaczą.

Idziemy dalej, zmieniamy się teraz częściej, aby było sprawiedliwie: jednego «aussera» Karol, drugiego ja.

Rysa, ścianka, płyta, zacięcie, i znów rysa i trawers — aż stajemy pod przewieszką. Jest nią podwójne wybrzuszenie skalne w dość efektownej ekspozycji jakich 250 m. Pierwsza przewieszka «puszcza», staję pod drugą, wbijam hak. Pró-

buję ją dwa razy, ale naprożno. Mokra skała zmusza mnie wreszcie do zdjęcia «tenisówek». Teraz poszło gładko i jesteśmy już ponad największemi trudnościami w ścianie. Dalej idziemy łatwym terenem aż pod blok szczytowy. Krótki odpoczynek i zabieramy się do pokonania ostatnich, i jak się okazało nawet dużych trudności. Ogarnia mnie uczucie bliskiego zwycięstwa. Przyciśnięty do zimnej granitowej skały, czuję się szczęśliwy. Teraz bowiem dopiero jestem w stanie odczuć całą rozkosz najcięższych wspinaczek, ja... który z początkiem lata wyjeżdzając w Tatry, sądziłem, że już one nie będą dla mnie dostępne z powodu kalectwa ręki...

Na szczycie podajemy sobie z Karolem ręce. Mówię, że to jest dla mnie jedna z najpiękniejszych i najtrudniejszych ścian, jakie robiłem. Karol jest tego samego zdania. Postanawiamy pogratulować pierwszym zdobywcom.

— —

Późnym wieczorem leżymy w Kaczej na kosówce.

Ponad nami płyną deszczowe chmury, które łączą się w mroku z czarnemi urwiskami ścian, tworząc ponurą i groźną panoramę. Jęczące podmuchy wichru składają się na uzupełnienie nastroju. Leżymy beztrosko, obserwując pędzące ponad nami chmury. Będziemy wprawdzie musieli znów przez las przedzierać się nocą, ale któżby się o to troszczył. Jest nam tu przecież tak dobrze...

Tadeusz Pawłowski

SKALNE DROGI

ŻŁOBISTY SZCZYT. I. wejście pn.-wsch. ścianą[1]). Podpisany z S. Motyką, dnia 29 lipca 1930 r.

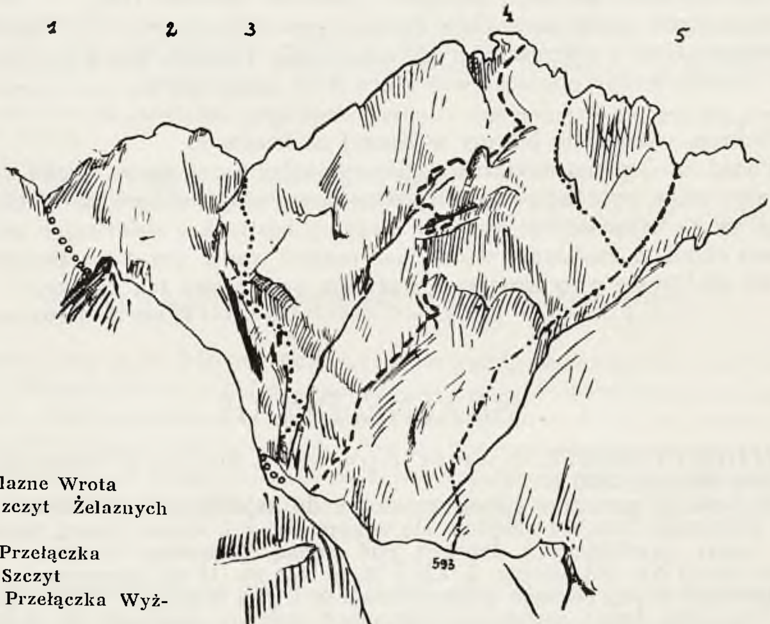
Wejście w przeszło 400 m wysoką i do najdzikszych w Tatrach należącą, ścianę Żłobistego Szczytu znajduje się w kominku z l. strony jasnej, płytkiej i szerokiej rynny, spadającej z depresji pod kulisą Żłobistego Szczytu, omówioną w opisie drogi Nr. 593 Przew. J. Ch. i M. Ś. Po 10—15 m opuszczamy ów kominek, skręcając w pr., poczem wgórę i nieco w l. pod stromą, b. kruchą grzędę (ok. 60 m, kopczyk), którą wgórę po półkach i luźnych stopniach do dużego bloku (20 m), następnie zachodem skośnie wpr. (20 m) i nieco w l. kominkiem, kończącym się przewieszką. Celem jej ominięcia, w pr. na grzędę, i po trawkach do płytowej depresji (50 m), w której otwiera się widok na kulisę. Wygodnem, płytowem wgłębieniem trawers w l., tuż nad wspomnianym wyżej kominkiem, pod l. krawędź kulisy (40 m, kopczyk). Stąd wgórę, l. z dwu nieregularnych rys, na stopień, poczem nieco w l., w kierunku żebra, b. stromem, rozdwajającem się zacięciem. L. z nich poprzez 4—5 m zupełnie eksponowaną ściankę na dogodną platformę (kopczyk) i obszernemi stopniami wprost wgórę na półkę pod ścianką, skąd trawersem w l. do olbrzymiego bloku, tkwiącego na początku, szerokiej u dołu a płytowej w dalszej części rynny, biegnącej w pr., równolegle do żebra kulisy. W owej ok. 8 m szerokiej rynnie znajduje się pęknięcie 5—10 cm szerokie, przy którego pomocy na przylegający płaski bloczek, tworzący szczelinę (dobra asekuracja). Stąd trawers w l. pod ścianę żebra, następnie nieco wdół, obok luźnego cypla, na platformę olbrzymiego graniastosłupa skalnego, nakrytego suchym mchem i luźnymi blokami, a z niej na widoczną dość stromą płytę w kierunku żebra, poczem wprost wgórę (10 m), przez dwie przewieszki na litą półkę już na żebrze kulisy. Z owej półki żebrem nieco w pr. wgórę na platformę, skąd w l. zacięciem na ostrą grańkę a następnie w pr. do płyty z nyżą. Teraz lekko przewieszonem pęknięciem i l. stroną żebra do wygodnej platformy (15 m, kopczyk), poczem już wygodnie grzędą w stronę śniegu u wylotu komina, gdzie grzęda się kończy (130 m,

[1]) W Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nr. 593 znajduje się opis drogi «pn.-wsch. ścianą» na Żłobisty Szczyt — w istocie jednak dopiero szlak z 1930 r. przyniósł właściwe rozwiązanie problemu, droga bowiem Nr. 593 od wejścia w teren skalny aż do wys. ok. 2250 m przebiega w linji spadku Żłobistej Przełączki Wyżniej (nazwę tę wprowadzamy dla najniższej, przełączki między Żłobistym i Rumanowym Szczytem), poza właściwą ścianą Żłobistego Szczytu, i dopiero w końcowej partji posuwa się nią samą, nadomiar jej podrzędną, pn. częścią. Drogę Nr. 593 musimy przeto nazwać «drogą od pn.-wsch.» (Red.).

kopczyk). Zkolei skośnie w l. po płytowej, dość stromej ścianie ku małej, ciemnej nyży pod przewieszoną ściankę (30—40 m; na l., w odl. 10 m, wybitny komin), a następnie prosto wgórę zacięciem 6 m (chwyty tylko na ręce) na wygodniejsze stanowisko i dalej wyraźniejszem już zacięciem (od nyży 15 m), poczem w pr. w wyraźną depresję w formie szerokich podszczytowych półek (30 m), któremi na pn.-zach. grań Złobistego Szczytu, w odległości ok. 30 m od wierzchołka.

Droga nadzwyczaj trudna. Wspaniała scenerja skalna. Czas przejścia 7 godz.

J. Sawicki



1. Zach. Żelazne Wrota
2. Zach. Szczyt Żelaznych Wrót
3. Żłobista Przełączka
4. Żłobisty Szczyt
5. Żłobista Przełączka Wyżnia

GRUPA ŻŁOBISTEGO SZCZYTU (z Dol. Kaczej)

Według szkicu S. Motyki i własnego — rys. Z. Korosadowicz

— ·· — ·· — ·· — ·· — droga od pn.-wsch. na Żłobisty Szczyt (Przew. J. Ch. i M. Ś. droga Nr. 593)
— · — · — · — · — droga od pn.-wsch. na Żłobistą Przełączkę Wyżnią («Taternik» z 1929 r. str. 19)
— — — — — — — — droga pn.-wsch. ścianą na Żłobisty Szczyt (opisana powyżej)
· · · · · · · · · · · · · · droga od pn.-wsch. na Żłobistą Przełączkę (opisana poniżej)
oooooooooooooooooo widoczna część, opisanej poniżej, drogi na Zach. Żelazne Wrota od pn.

ŻŁOBISTA PRZEŁĄCZKA. I. wejście od pn.-wsch. Podpisani, z K. Zającem, dnia 3 lipca 1931 r.

Żlebem spadającym z Zach. Żelaznych Wrót wgórę. Wejście w ścianę kilka m poniżej dachówkowato ściętych płyt, któremi ścieka woda. Rynną biegnącą z odchyleniem wpr. 25 m w górę, następnie trawiastem żebrem z pr. strony rynny i po trawkach na wygodną, trawiastą półkę (45 m, kopczyk). Następuje trawers w l. (35 m) po kruchych trawiastych skałkach, do depresji w ścianie. Depresją wgórę do płytowego zacięcia, które pokonujemy na l. krawędzi, a następnie w dalszym ciągu depresją tworzącą rodzaj szerokiej rynny, przechodzącej następnie w b. stromy komin. Przy jego końcu w l. na grzędę i nią na wygodną platformę (kopczyk), stąd trawers skośnie w l. po płycie do poderwanego od dołu kominka (najtrudniejsze miejsce, duża ekspozycja). Kominkiem wgórę na rodzaj trawiasto-skalistej platformy, z której niemiłą rynną o kruchych skałach na piarżysty stopień w krawędzi grzędy, ograniczającej rynnę z l. strony (kopczyk pod ścianą, bilety). Stąd płytowem, łatwem zacięciem skośnie w pr. wgórę na trawiasto-skaliste stopnie (nyża wśród bloków, kopczyk. Na pr. od nas znajduje się wybitne koryto wrzynające się w ściany Złobistego Szczytu, którem by można dotrzeć pod blok szczytowy Złobistego do drogi pn.-wsch. ścianą). Teraz nieco

trudnym terenem przez stopnie, z silnem odchyleniem w l. (ok. 5 dług. liny) do głębokiego kotła w żlebie, spadającym ze Żłobistej Przełączki. Nim wprost w górę po rumowiskach i śniegach na przełączkę.

Droga b. trudna, eksponowana, w dolnych partjach kruchy trawiasto-skalisty teren. Czas przejścia 4 godz.

Z. Korosadowicz J. Sawicki S. Siedlecki

ZACH. ŻELAZNA WROTA. I. wejście wprost od pn.[1]). Podpisani, z S. Motyką, dnia 7 lipca 1931 r.

Potężny, w Dol. Kaczą z przełęczy spadający, żleb śnieżny rozdziela się u dołu na dwie odnogi, przedzielone trawiasto-skalistą bulą. L. odnogą na bulę, skąd właściwym żlebem wgórę, przeważnie l. jego stroną, po śniegu i piargu, popod pn. granią środkowego wierzchołka Śnieżnej Kopy. W $^{3}/_{4}$ swej długości żleb zamknięty jest potężnym progiem, którego środkiem spływa woda. Pr. stroną progu przez piarżyste stopnie do kruchej, mało wybitnej rynny i nią kilka m. wgórę na piarżystą platforemkę. Stąd 10 m trawers w l. poprzez kruche i niepewne gzymsy na drugą platformę, a z niej skośnie w l. wgórę b. trudnym i kruchym kominkiem ponad próg na wygodne stopnie i gzymsy, którymi w l. zpowrotem do żlebu, i nim z odchyleniem w pr. po kilkunastu m na przełęcz.

Droga b. trudna i wymagająca umiejętności chodzenia po śniegu, z powodu nieustannie spadających kamieni niebezpieczna. Czas przejścia 3 godz. J. Sawicki S. Siedlecki

MAŁY LODOWY SZCZYT. Warjant na pd. ścianie[2]). Podpisany, dnia 24 sierpnia 1928 r.

Najbardziej eksponowanym i męczącym fragmentem drogi Nr. 910 Przew. J. Ch. i M. Ś. jest wydostanie się od opisanej tamże «wygodnej, trawiastej półeczki» na «łatwe, trawiaste stopnie», doprowadzające do «głębokiej nyży». Opis drogi Nr. 910 podaje dwa sposoby pokonania tego terenu, można go jednak również obejść w sposób następujący:

Z półeczki trawers poziomo w l., parę m za oryginalne, przewieszone pęknięcie, poza przewieszony węgieł skalny. Stromą ścianką, o niezbyt korzystnie rozmieszczonych i skąpych stopieńkach, wgórę na «łatwe, trawiaste stopnie», któremi do nyży.

Warjant ten żywo przypomina pierwsze kilka m drogi wsch. granią Niebieskiej Turni, jest b. trudny i eksponowany, łatwiejszy jednak i mniej męczący od drogi pierwszych zdobywców i b. praktyczny. Podobno używano go już kilka razy, ale nie był nigdzie opisany.

A. Zalewski

MAŁA ŚNIEŻNA TURNIA. I. wejście pn.-zach. granią. Podpisani, dnia 24 lipca 1929 r.

Stanowiąca najniższy fragment potężnej i pięknej Grani Śnieżnych Turni i jako taka nader godna zwiedzania — wybitna, pn.-zach. grań Małej Śnieżnej Turni (por. rys. w «Taterniku» z 1931 r., str. 39, na którym jest dobrze widoczna jako l. krawędź zach. ściany tejże turni) schodzi ku progowi Dol. Czarnej Jaworowej ponad Czarnym Stawem Jaworowym. Zaraz po przejściu owego progu skręcamy skośnie w pr., by płytowemi, trawą przetykanemi skałkami, nieco trudno, pod koniec trawiastą rynną, osiągnąć trawiastą półkę, na pr. od najniższego uskoku grani (wiedzie do niej łatwy zachód). W l. ścianie uskoku, ok. 20 m na l. od ostrza grani, rysuje się piękny komin. Tu wejście (kopczyk). Kominem, zachylającym się w l., ok. 40 m na kazalnicę (kopczyk), z której łukiem w pr. i po trawie na ostrze grani i nią, łatwo, do jej spiętrzenia. Tu na l. od krawędzi grani, poczyna się wąskie, efektowne zacięcie. Niem, 30 m, trudno, na dogodne stanowisko za nastermanemi

---

[1]) Por. przyp. [1]) na str. 38 «Taternika» z b. r.

[2]) Przebyty podczas XIII. prz. ściany wykonanego przez H. Mogilnickiego i A. Zalewskiego, dnia 24 sierpnia 1928 r. Przy okazji zapisujemy pierwszych dwanaście przejść tej ściany: 1) W. Kulczyński, K. Piotrowski, J. Rotwand i M. Świerz, 31 sierpnia 1912 r.; 2) S. Makowski, J. i Z. Rzepeccy oraz A. Sokołowski, 27 sierpnia 1924 r.; 3) A. i J. A. Szczepańscy oraz M. Szczuka, 7 lipca 1927 r.; 4) K. Henschówna i J. Ivanko, 29 lipca 1927 r.; 5) J. Golcz i T. Krystek, 15 sierpnia 1927 r.; 6) T. Krystek i K. Narkiewicz-Jodko, 9 września 1927 r.; 7) J. Krzyżanowski i J. Leporowski, 16 lipca 1928 r; 8) L. i M. Skotnicówne, T. Brzoza i W. Stanisławski, 3 sierpnia 1928 r.; 9) dr. M. Sokołowski i K. Wallisch, 10 sierpnia 1928 r.; 10) T. Steiner i I. Zamkovszky, 12 sierpnia 1928 r.; 11) T. Bernadzikiewicz i L. Jakubowski, tegoż dnia; 12) J. Ramert i Z. Wróbel, ok. 20 sierpnia 1928 roku.

blokami (zacięcie w połowie swej długości dochodzi niemal do ostrza grani, doprowadzając do, dogodnego dla asekuracji, stopnia w grani na pr.). Następuje poziomy trawers, 8 m, wąziutką i eksponowaną półeczką skalną na dalsze trawiaste stanowisko (kopczyk), z którego najpierw trawiastą (łatwo), a później b. stromą i skalistą (dość trudno) rynną, z powrotem na grań, osiągając ją w małem siodełku (wspaniały widok na zerwy zach. ściany Małej Śnieżnej Turni). Z siodełka, poziomym konikiem skalnym i prawie połogą granią, do miejsca, w którem przypiera ona do ściany nowego uskoku. Tu, b. łatwo. na żeberko z l. strony, poczem, zachylając się w pr., z powrotem na krawędź grani i nią, w nieco trudnej wspinaczce, na niewybitną turnię. Następuje (ta część drogi jest już identyczna — mniejwięcej — z drogą opisaną w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nr. 1032) nieco trudne, po stronie Dol. Czarnej Jaworowej zejście na siodełko poza turnią, z którego wgórę poprzez 2 m ściankę i trawiastą półką w l. do wybitnego komina, wywodzącego (nieco trudno) na grań i nią na bliski już wierzchołek (od wejścia w skały 3 godz.).

Droga trudna i zajmująca, krajobrazowo piękna. Skała lita.

J. K. DOBAWSKI A. SZCZEPAŃSKI J. A. SZCZEPAŃSKI

JASTRZĘBIA TURNIA pn. ścianą.

Jastrzębia Turnia opada ku Dol. Jagnięcej niewielką, ale b. stromą, półkulistą ścianą, zwróconą ku pn.-pn.-wsch., a ograniczoną zach. i wsch. granią turni. Wpoprzek tej ściany wiedzie droga Nr. 1167 Przew. J. Ch. i M. Ś., na jej krawędziach drogi Nr. 1171 i 1168 tegoż Przew. Samą ścianę przebyto dotychczas trzykrotnie, za każdym razem w sposób odmienny i dość trudny do zidentyfikowania, a to zarówno jej prawą i lewą połacią, jak i jej środkiem.

Prawą (zach.) częścią ściany (w pobliżu zach. grani) szli na wierzchołek pierwsi I. Barcza, O. Jordan i T. Szaffka, dnia 10 kwietnia 1909 r. Mniej więcej z połowy zachodziku, którym wiedzie droga Nr. 1167, weszli oni w skały, spadające wprost od szczytu. Z zachodziku przez 3-m ściankę, poczem skałami wprost wgórę na niewielką platformę (25 m), skąd w l. wgórę na niewielki, trawiasty zachodzik u stóp pionowej ściany skalnej i dalej z pomocą żywej drabiny wprost wgórę, a wreszcie na wierzchołek. O drodze swej, wykonanej w warunkach skrajnie zimowych, napisali Węgrzy[1]) w superlatywach, szli nią 6 godz. i oświadczyli, że «w lecie nie da się zapewne pokonać pokonać potężnych kruchych skał górnej ściany ponad zachodem».

Środkową część ściany przeszli pierwsi Z. Roszkówna i B. Chwaściński, dnia 27 sierpnia 1930 r.[2]). Wydostali się oni najpierw z l. strony (od drogi Nr. 1166 Przew. J. Ch. i M. Ś.) na niewielkie wcięcie występujące w ścianie, poczem poszli ścianą wprost wgórę aż do komina z l. strony. Kominem wgórę, pod koniec na jego pr. ściankę i ok. 1½ m w pr. (hak), skąd bezpośrednio wgórę, ok. 6-m ścianką, po której pokonaniu krótki 2-m trawers w l. Okraczając wywieszoną ściankę (najtrudniejsze miejsce) — jeszcze nieco w l. i wgórę na niewielki, trawiasty zachód i nim na wielką i gładką płytę, którą w pr. do jej końca, poczem krótkim kominkiem na piarżysty zachód, którym wiedzie droga Nr. 1167 Przew. J. Ch. i M. Ś. i albo nią, albo wprost skałami na wierzchołek (1¼ godz.). Droga częściowo trudna.

Nakoniec lewą (wsch.) część ściany przebyli pierwsi Z. Krókowska i J. A. Szczepański dnia 10 kwietnia 1928 r.[3]). Droga ich biegnie w ścianie równolegle do drogi Nr. 1168 Przew. J. Ch. i M. Ś., ale w dość znacznej od niej odległości, ze stopnia na stopień, poprzez niełatwe i częściowo b. strome rynny. Najtrudniejsza — b. trudna? — jest druga rynna, którą można jednak — trudno — ominąć z l. strony. Ku końcowi droga zachyla się w l. i doprowadza do zachodu z odpękniętą płytą, przez którą wiedzie droga Nr. 1168. Nią na wierzchołek (1¼ godz.). Droga częściowo trudna.

---

[1]) Tihamer Szaffka: «Die erste Besteigung des Karfunkelturmes im Winter» w «Jb. d. U. K.-V.» z 1910 r., str. 1—15. «Taternik» kilkakrotnie przynosił wzmianki o tej wycieczce, raz (roczn. 1909, str. 65) nazywając ją wejściem (pierwszem) «wprost od Czerwonego Stawku», innym razem (roczn. 1911, str. 60) cytując za zestawieniem z «Oesterr. Alpenzeitung» «nowy waryant na Jastrzębiej Turni». Za każdym razem podawano przytem datę mylną, o dzień późniejszą od właściwej.

[2]) Drogę tę zanotowano w «Taterniku» z 1931 r., str. 13, jako «wyjście pn.-wsch. ścianą» na Jastrzębią Turnię.

[3]) «Taternik» z 1928 r., str. 44, wymienił tę drogę jako «I. w. z. wsch. granią» na Jastrzębią Turnię, co sprostował jednak «Taternik» z 1930 r., str. 62.

SPRAWY SEKCJI

Udział Sekcji w budżetach P. T. T.

Dzięki życzliwemu poparciu Zarządu Głównego P. T. T. i pełnemu zrozumienia dla znaczenia Sekcji i jej zadań w łonie Towarzystwa stanowisku poszczególnych Oddziałów P. T. T. — doroczny Walny Zjazd Delegatów P. T. T., odbyty w Krakowie, w dniu 8 maja b. r., uchwalił w preliminarzu budżetowym na b. r. kwotę 3.000 zł na wydawnictwo «Taternika» oraz 1.500 zł na «Fundusz im M. Świerza». Równocześnie uchwalił Zjazd Delegatów przedłożony mu wniosek Sekcji (z poprawką p. delegata Oddz. w Jarosławiu), mocą którego — poczynając już od b. r. — Oddziały P. T. T. obowiązane są wpłacać rocznie na «Fundusz im. M. Świerza» od 20 zł (Oddziały poniżej 100 członków) przez 50 zł (Oddziały od 100 do 300 członków) i 100 zł (Oddziały od 300 do 1000 członków) do 200 zł (Oddziały powyżej 1000 członków). Uchwały te stanowią ogromny krok naprzód w porównaniu ze stanem z przed 1931 r. — są jednak jeszcze ciągłe niewspółmierne z ogromnem znaczeniem prac Sekcji dla całego P. T. T. Będziemy więc dążyć do dalszego uwzględniania naszych dezyderatów przez macierzyste Tow.

Wyprawa alpejska w 1932 r.

Wyłoniona przez Zarząd Sekcji jeszcze w październiku ub. roku (por. «Taternik» z 1931 r., str. 147) komisja dla zorganizowania II wyprawy alpejskiej Sekcji, rozpoczęła w lutym b. r. swą działalność, poczynając możliwie dokładne i wszechstronne przygotowania. W szczególności — wobec dalszego podwyższenia opłat za paszporty zagraniczne — Zarząd Sekcji wniósł do M. S. Z. podanie o udzielenie członkom wyprawy paszportów bezpłatnych. motywując swą prośbę korzyściami propagandowemi, związanemi z wyprawą, oraz zapowiedzianym czynnym udziałem niektórych jej członków w tegorocznym Międzynarodowym Kongresie Towarzystw Alpinistycznych w Chamonix (w końcu sierpnia b. r.) — a powołując się na sukcesy i korzyści propagandowe, które przyniosła poprzednia wyprawa Sekcji, oraz na poparcie Ambasady Polskiej w Paryżu. Podjęto dalej starania o uzyskanie indywidualnych zniżek kolejowych, zajęto się sprawą kolektywnego sprzętu, opracowano program działań wyprawy (w grupie Mont Blanc) i t. p. — Uporczywe i zdumiewające trudności jakie władze państwowe stawiają jednak w sprawie tej jedynej pomocy, jakiej od państwa żąda alpinizm polski (t. j. bezpłatnych paszportów) — każą się poważnie liczyć z możliwością daleko idącej redukcji programu i ilości uczestników zamierzonej wyprawy, a może nawet z jej całkowitą likwidacją — ku niewątpliwej szkodzie sportowej propagandy polskiej.

Tworzenie Klubu Wysokogórskiego.

Sprawa utworzenia jednolitego Klubu Wysokogórskiego P. T. T. posuwa się pomyślnie naprzód. Opracowany przez p. B. Małachowskiego statut przyszłego Klubu był przedmiotem kilkakrotnych konferencyj między pełnomocnikami organizacyj taternickich krakowskich i warszawskich, które doprowadziły do niemal zupełnego uzgodnienia jego zasad. Jedyną kwestją dotychczas nieustaloną jest forma Walnych Zgromadzeń Klubu. Co do technicznej strony unifikacji, postanowiono dokonać jej przez uchwalenie statutu Klubu na najbliższem (w lipcu b. r.) Walnem Zgromadzeniu Sekcji, jako zmiany jej dotychczasowego statutu, poczem przyłączą się do Klubu inne organizacje taternickie.

Nowi członkowie.

P. Witold Orłowski (Warszawa) został przyjęty w poczet członków Sekcji.

Z KOŁA WYSOKOGÓRSKIEGO PRZY ODDZIALE WARSZAWSKIM P. T. T.

Sprawozdanie z działalności za rok 1930.

O ile w pierwszym roku działalności Koła Wysokogórskiego punktem ciężkości prac, musiała być z natury rzeczy organizacja wewnętrzna i kosolidacja, o tyle rok ubiegły upłynął pod hasłem nawiązania iaknajściślejszych stosunków z innemi organizacjami taternickiemi.

Chcąc podkreślić jednolitość społeczeństwa taternickiego rozesłano bezpłatnie członkom STPTT. i STAZS. zeszyt I «Nowych Dróg», również w dziale wypożyczalni sprzętu nawiązano kontakt z Sekcją Taternicką AZS. Wreszcie w zrozumieniu korzyści, płynących ze zjednoczenia ruchu taternickiego, z całą gotowością podjęto, na propozycję Zarządu Sekcji Turystycznej, rozmowy mające na celu ustalenie wytycznych przy organizowaniu Klubu Wysokogórskiego, uwieńczone zupełnem uzgodnieniem stanowiska wszystkich organizacyj taternickich.

Koło w osobach S. Bernadzikiewicza i H. Mogilnickiego brało czynny udział w pracach Zarządu Oddziału Warszawskiego PTT., który też darzył życzliwem poparciem wszystkie poczynania Zarządu Koła.

Wychodząc z założenia, iż bardziej celowem od magazynowania sprzętu w wypożyczalni, jest umożliwienie członkom Koła nabycie tegoż na własność, postanowiono nabywać na własność Koła tylko ten sprzęt, który koniecznym będzie przy organizowaniu wypraw Koła, natomiast ułatwić członkom zaopatrywanie się w potrzebny im ekwipunek. Opracowano typ lekkiego namiotu dwuosobowego, wykonano pierwszą serję 5 namiotów, z tych dwa na dogodnych warunkach na zamówienie członków.

W roku ubiegłym wydano I zeszyt przewodnika perjodycznego p. t. «Nowe Drogi w Tatrach Wysokich». Zeszyt I, obejmujący grupę Śnieżnych Turni, pod redakcją W. Stanisławskiego wydrukowano na powielaczu, lecz wobec przychylnego przyjęcia przez ogół taterników (między innemi zgłoszenie prenumeraty przez Zarząd STAZS dla członków Sekcji nie należących do innych organizacyj) oraz zapewnienia prenumeraty, postanowiono kontynuować wydawnictwo drukiem. Redakcję, po rezygnacji W. Stanisławskiego, powierzono S. Bernadzikiewiczowi. Drugi zeszyt, obejmujący grupę Gierlachu, ukazał się już drukiem. W dziale tym nawiązano bardzo ścisły kontakt z Redakcją Taternika, uzyskując wzajemną wymianę opisów oraz koordynację planu wydawniczego, jak również z dr. Gyulą Komarnickim, autorem węgierskiego Przewodnika po Tatrach Wysokich.

W składzie Zarządu zaszła ta zmiana, iż na miejsce J. Gnojka, który opuścił Warszawę, kooptowano W. Ostrowskiego.

Działalność członków Koła w Tatrach była równie ożywiona jak w latach uprzednich, mimo iż obowiązek służby wojskowej uniemożliwił jednym, lub skrócił innym ich pobyt w górach. Poza Tatrami działali: w Alpach K. Narkiewicz-Jodko i inż. W. Wyszyński, i w górach Kabylji (Dżebel Dżiurdżiura) K. Narkiewicz-Jodko.

Walne Zebranie Członków w marcu 1932 r. wybrało nowy Zarząd w składzie prezes: K. Narkiewicz-Jodko, wiceprezes: B. Chwaściński, sekretarz: R. Filasiewicz-Drojecka, skarbnik: W. Ostrowski, oraz Komisję Rewizyjną: mg. T. Bernadzikiewicz (przewodniczący), S. Hiszpański i inż. B. Krzemieński. Zarząd kooptował kpt. L. Miładowskiego, powierzając mu funkcję gospodarza.

Walne Zebranie powzięło następujące (ważniejsze) uchwały: 1) akceptowało dotychczasową działalność Zarządu w sprawie unifikacji klubów taternickich, i udzieliło nowemu Zarządowi plenipotencji do dalszych prac w tym kierunku; 2) postanowiło stworzyć «fundusz alpinistyczny» i wstawiło w preliminarzu odpowiednią pozycję; 3) postanowiło potępić metody polemiczne stosowane przez niektórych taterników (p. niżej).

Przeciw polemikom prasowym.

Walne Zgromadzenie Członków Koła Wysokogórskiego w dniu 8 marca 1932 r., powzięło przez aklamację następującą uchwałę: «Walne Zebranie potępia niewybredne metody polemiczne, stosowane w ostatnich czasach przez niektórych taterników na łamach prasy dla celów osobistych, jako poniżające godność i powagę taternictwa», oraz poleciło Zarządowi ogłoszenie jej w prasie fachowej i codziennej.

Z SEKCJI ALPEJSKIEJ K. S. P. W GRENOBLE

Po roku działalności.

Skąd powstała Sekcja Alpejska Koła Studentów Polaków? Odpowiedzi na to pytanie szukać należy w warunkach, w jakich znajduje się środowisko akademickie w «stolicy Alp francuskich». W mieście tem, gdzie liczba członków towarzystw alpejskich wynosi ponad 2 tysiące (na 80.000 mieszk.), gdzie otoczenie pozwala na uprawianie alpinizmu przez rok cały, gdzie znajdują się tereny nar-

ciarskie najróżnorodniejsze, myśl stworzenia pewnego stałego ośrodka musiała narodzić się prędzej czy później. Wystarczało, aby znalazło się kilku ludzi o nastawieniu alpinistycznem, aby inicjatywa tego rodzaju wynikła sama przez się.

Realizacja nastąpiła bardzo szybko. W grudniu 1930 r. niezbyt aktywne dotychczas polskie koło studenckie w Grenoble reorganizuje się. Ożywia się jednocześnie działalność referatu sportowego. Powstaje myśl zorganizowania samodzielnej placówki, któraby mogła wejść w łączność z kołami francuskiemi. Polacy są w nich już znani. Wyprawy J. Golcza, «*Polonais qui va seul*», dalej wstąpienie do Sekcji Isère kilku członków P. T. T. — daje pierwszy moment kontaktu. Odczyt o Tatrach w styczniu 1931 r. przyczynia się do większego zainteresowania się górami polskiemi i polskimi alpinistami. «Affiliation» koła do «Club Alpin Français» obejmuje stosunek z Francuzami w formę prawną. Projekt samodzielnej Sekcji Alpejskiej zostaje opracowany w tymże miesiącu. Sprawą wykazuje zainteresowanie Sekcja Wychowania Fizycznego Ambasady Polskiej w Paryżu i w lutym Sekcja Alpejska jest instytucją «uznaną, zatwierdzoną i działającą».

Było to, można śmiało powiedzieć, najłatwiejsze zagadnienie. Przed Sekcją spiętrzyły się zaraz najróżnorodniejsze kwestje. Należało ugruntować jej stosunki zewnętrzne, trzeba było opracować sprawę łączności z organizacjami krajowemi, wreszcie trzeba było stworzyć samą Sekcję, z wielkiej ilości amatorów zgłaszających się do niej wybrać tych, którzy naprawdę mieli dane na narciarzy czy alpinistów. A jednocześnie nie można było ani na chwilę zapominać, iż nie chodzi tu o efekt chwilowy, że trzeba położyć trwałe podstawy pod polską placówkę u podnóża Alp.

Dokoła tego właściwie zagadnienia obracać się będzie działalność Sekcji przez cały prawie pierwszy rok.

Stosunki zewnętrzne z czynnikami francuskiemi rozwijają się pomyślnie. W ciągu rocznej pracy zdobywa sobie Sekcja «miejsce» wśród innych grup tego typu w Grenoble. Od samego początku natrafiliśmy na atmosferę ułatwiającą znakomicie nasze zadanie. Club Alpin Français ustosunkował się z wielką serdecznością do naszej inicjatywy. Przybycie w lecie wyprawy S. T. P. T. T. podkreśliło łączność z krajem i niewątpliwie wzmocniło pozycję Sekcji. Rezultaty osiągnięte przez polskich taterników przyczyniły się do wytworzenia w kołach francuskich przekonania, iż Polacy, jako całość organizacji wysokogórskiej, zająć mogą poczesne miejsce w alpiniźmie europejskim. Żywiołowa manifestacja sympatji w Montaud, we wrześniu 1931 r., była dowodem, iż Polacy są znani nietylko jednostkom kierowniczym C. A. F., lecz również i ogółowi członków.

Nowy regulamin towarzystw «affiliées» daje im prawo głosu doradczego na Assemblée générale C. A. F., które odbywa się w okresie wiosennym. Z organizacyj polskich, zarówno P. T. T. jak i jego Sekcja Turystyczna ustosunkowały się do naszej inicjatywy w sposób b. przychylny. Udział Sekcji w przygotowaniach na gruncie francuskim do wyprawy letniej S. T. P. T. T. (i w samej wyprawie) wytworzył żywą łączność zarówno personalną jak i organizacyjną z krajem, co stanowiło jeden z zasadniczych punktów programu Sekcji.

Poparcie ze strony Ambasady i udzielenie na wiosnę b. r. subwencji, umożliwiło zakup sprzętu i zapoczątkowanie bibljoteki. Jeżeli chodzi o tę ostatnią sprawę, szereg książek i przewodników ofiarowali sami członkowie Sekcji.

Warunki zewnętrzne działania ułożyły się więc b. pomyślnie. Pozostawało jednak zagadnienie najważniejsze w gruncie rzeczy: praca samej Sekcji.

Koło Studentów Polaków liczyło w ub. roku akad. przeszło 80 członków. Zgłosiło się do Sekcji 26 osób, w tem niemal wszyscy początkujący jako narciarze, wszyscy — za wyjątkiem Golczów, Hoffmana i mnie — początkujący jako alpiniści. Należało w tej grupie dwudziestu kilku osób przeprowadzić selekcję i dążyć do stworzenia mniej licznego ośrodka wypróbowanych, którzy mogliby stanowić podstawę do normalnego zorganizowania pracy w roku następnym. Dostosowano do tego program wyjść, kładąc nacisk na obowiązkowe wycieczki zbiorowe, które pozwalały na zorjentowanie się w możliwościach poszczególnych członków Sekcji. Organizacja ich nie była bynajmniej łatwa. Brak podziału na wprawniejszych i początkujących komplikował też niejednokrotnie ich wewnętrzną organizację.

Dały one jednak rezultaty pomyślne. Z jednej strony początkujący, którzy zapisali się do Sekcji rzeczywiście dla sportu, przeszli pod kierunkiem bardziej doświadczonych kolegów ten najbardziej przykry dla narciarza okres początkowy, z drugiej strony odpadli ci, którzy poszli do nas... dla mody (to niebezpieczeństwo jest bardzo istotne w Grenoble, gdzie sport narciarski jest ogromnie en vogue).

Dlatego też w okresie wiosennym nastąpiło wyprowadzenie Sekcji w wysokie góry, co się również powiodło (p. sprawozdanie), przyczem szereg szczytowych wycieczek letnich zakończyły dwie jesienne wycieczki szkolne dla nowych

debjutantów. Przeprowadzone w tymże czasie nowe zapisy do Sekcji ułatwiły prowadzenie pracy na normalnych podstawach. Nie idziemy już dziś na liczbę. Nowy regulamin nie przewiduje wielkich wycieczek zbiorowych, natomiast wprowadza «minimum» zaprawy narciarskiej czy letniej (w sezonie 12 pełnych dni narciarskich lub 5 wypraw szczytowych, w tem 3 powyżej 3000 m; minimum trudności: droga alpejska łatwa). Ułatwi to niewątpliwie poważne wyprawy, gdyż odciąży grupę wysokogórską od konieczności dostosowywania się do debjutantów, a zarazem ułatwi wychowanie nowych alpinistów, pozwalając im uniezależnić się w górach od narciarzy pur sang.

Zwiększa to pracę kierownictwa, które nie myśli bynajmniej stracić kontroli nad wycieczkami członków, ale rezultaty będą niewątpliwie lepsze. Rok zeszły był rokiem prac wstępnym i rokiem prób, rok bieżący będzie właściwie pierwszym rokiem pracy normalnej. Czy uda nam się wytworzyć typ alpinisty polskiego, nie posiadającego przeszłości tatrzańskiej? Mam wrażenie, że tak: kandydaci są. I to będzie jeden z największych dorobków, jakiemi mogłaby się poszczycić Sekcja. A zarazem — wybaczą mi moi koledzy-taternicy tę uwagę — sądzę, iż alpinizmowi naszemu przyniosą oni korzyść, wnosząc odmienną nieco psychikę, odmienne nieco nastawienie wobec gór w stosunku do taterników. Polska placówka u podnóża Alp dopiero wówczas będzie mogła powiedzieć, iż spełnia swoje zadanie.

W. Wyszyński

Sprawozdanie z działalności za r. 1931.

W pełnej zimie 1931 r. zorganizowała Sekcja 8 wycieczek w «moyenne montagne», w tem dwie szczytowe. Liczba uczestników wahała się od 8 do 22 osób. Odbyto prócz tego wiekszą ilość narciarskich wycieczek indywidualnych. Późną zimą 1931 zorganizowano dalsze 4 wycieczki, już w «haute montagne», na wiosnę dalszych 6, w lecie 12 wycieczek. W sezonie zimowym 1931/2 urządzono znowu 17 wycieczek narciarskich, oraz w dniach 27 XII—3 I kurs narciarski, kierowany przez por. Kułakowskiego z ramienia I. W. F. i Ambasady Polskiej w Paryżu. Mimo rozmaitych trudności (wynikłych także z niedostatku śniegu), kurs (odbyty w La Bérarde i w Dol. Etançons) odniósł pełne powodzenie, a wzięło w nim udział 17 osób.

W ciągu roku uzupełniano dalej bibljotekę oraz sprzęt turystyczny. Odbyto też dwa zebrania towarzyskie, na jednem z nich wyświetlając film narciarski, nakręcony podczas kilku wycieczek narciarskich Sekcji.

Pierwszym kierownikiem Sekcji został inż. Witold Wyszyński. Z powodu wyjazdu do Paryża, inż. Wyszyński ustąpił z dniem 25 listopada 1931 r., a kierownikiem Sekcji został jego dotychczasowy zastępca, Janusz Brzeziński. Członków liczy Sekcja obecnie 23.

NOTATKI

† Leon Loria. Dnia 8 kwietnia 1932 r. zmarł w Zakopanem, przeżywszy lat 49, dr. Leon Loria, przed wojną koncypjent adwokacki w Nowym Targu, w czasie wojny ułan-legjonista, ostatnio em. ppułk-pilot i kawaler kilku orderów, światu taternickiemu znany najbardziej jako uczestnik zdobycia pd. ściany Zamarłej Turni. Zmarły miał w swym dorobku niemało przejść taternickich, głównym jednak terenem jego działalności sportowej była wysokogórska turystyka narciarska, której był na gruncie tatrzańskim jednym z pionierów i b. zasłużonych reprezentantów. W latach 1909—1914 brał udział w szeregu znakomitych wypraw skalno-narciarskich, by wymienić choćby I. w. z. na takie szczyty jak Salatyński, Spalona, Banówka i Rohacze w Tatrach Zachodnich, a Buczynowe Turnie i Zadni Mnich w Tatrach Wysokich, jak również I. zim. traw. Kościelców, Małego Koziego Wierchu i Zamarłej Turni, a wreszcie I. w. z. na Mięguszowiecki Szczyt nad Czarnym pn. ścianą, jedno z pierwszych zimowych wejść ścianą tatrzańską. Nie obcym był również pracom organizacyjnym, jako zastępca przewodniczącego SNTT w latach 1911—1914. Był to człowiek dzielny, uczynny, wrażliwy i b. ambitny — ogólnie lubiany.

† Jan Ciaptak. W drugiej połowie września 1931 r. dobrowolnie zatracił się w Tatrach (zapewne w okolicy Giewontu) Jan Gąsienica Ciaptak, w latach 1906—1929 przewodnik 1 klasy, ok. 1903 r. jeden z najlepiej zapowiadających się przewodni-

ków zakopiańskich. Znał nieźle całe Tatry, wyszukał też — jak wiadomo – dwie nowe drogi: pn. ścianą Giewontu i powszechnie dziś używaną «przez płytę» na Przełęcz Mylną.

✝ **Bobi Arsandaux.** W dniu 13 lipca 1931 r. spadł (mimo asekuracji przez towarzysza wyprawy E. Stofera na podwójnej linie) z grani Grands Montets Szczytu Verte (z Aiguille Carrée 3716 m) i poniósł śmierć, 25-letni Bobi Arsandaux, jeden z najdzielniejszych reprezentantów młodego pokolenia alpinizmu francuskiego. Odbywając od 1926 r. swoje wyprawy (zazwyczaj jako pierwszy na linie) — Arsandaux doprowadził w 1930 r. do takich sukcesów w grupie Mont Blanc jak I. prz. pn. ścian Aig. d'Argentière i Les Droites. Na cześć zmarłego alpinisty nazwano już jego imieniem, otwarte w sierpniu 1931 r., schronisko na lodowcu d'Envers le Blaitière (grupa Mont Blanc).

✝ **Toni Schmid.** Groźnym akordem katastrofy górskiej rozpoczął się już bież. sezon alpinistyczny: dnia 15 maja b. r. zakończył życie — w następstwie odpadnięcie od lodowej pn.-zach. ściany Gross-Wiesbachhornu (3570 m) — Toni Schmid, jeden ze zdobywców pn. ściany Matterhornu. Jego karjera wysokogórska była równie efektowna, jak krótkotrwała: zły los, który zdaje się ścigać zwycięsców Matterhornu, nie dał mu ani roku cieszyć się oszałamiającym triumfem nad górą. Zginął na ścianie niezbyt — jak dla niego — trudnej, w następstwie urwania się chwytów. Jego towarzysz, E. Krebs, porwany przezeń w przepaść, uległ ciężkim obrażeniom, ale uszedł z życiem.

Uczczenie pamięci Jerzego Żuławskiego. W dniu 29 maja b. r. dokonano na cmentarzu w Dębicy poświęcenia pomnika Jerzego Żuławskiego, głębokiego poety i pisarza, zarazem jednego z najwybitniejszych taterników swego pokolenia. Jak wiadomo, zmarłemu jako ofiara wojny w dniu 9 sierpnia 1915 r. taternikowi-poecie poświęcił «Taternik» już dwukrotnie (w 1921 r. i w 1928 r.) obszerne wspomnienia, pióra Mieczysława Świerza.

Pod biegunem i na równiku. Kraje Stanleya i Londona, grozy i dzikości, lodowców i dżungli — kraje fantastycznych przygód dla młodzieży — przestały być egzotyką powieściową. Dzikość cywilizuje sprawna administracja, przez zapadłe wertepy przebiegają autostrady i linje kolejowe. Egzotyzm w Egzotyku chroni się jeszcze w głąb jego olbrzymich gór. Ale i ztamtąd wypędza go zwycięska inwazja człowieka. Los gór Alaski jest już przesądzony: coraz mniej ich lodowych kolosów opiera się alpinistom, ostatnio Allen Carpe i Terris Moore dokonali tu, w czerwcu 1931 r., I. w. na Mount Fairweather 4694 m (wedle najnowszych wiadomości, także i Mac Kinley został w maju b. r. zdobyty przez amerykańskich turystów). Przyszła również pora na tajemnicze i chmurne Góry Księżycowe (Ruwenzori). Zwiedzane dotychczas tylko od wsch. (w 1931 r. dokonał tu W. Tilman III. w. na najwyższy ich szczyt Punta Margherita, 4860 m) — mają być tym razem zaatakowane przez ekspedycję belgijską X. de Grunne'a od zach., od strony Konga. Białe plamy na mapach nikną w oczach i trudno już nawet w Azji oczekiwać większych niespodzianek. Alpinizm odkrywczy dysponuje jeszcze ponad pół miljonem szczytów dziewiczych, ale to już inna sprawa.

Na bezdrożach alpinizmu akrobatycznego. Czytelnicy «Taternika» łatwo zapewne przypomną sobie artykulik M. Świerza, ogłoszony w rocz. 1913. str. 113—114, omawiający «Nowe rekordy wspinaczek w Alpach». Były tam wyliczone przedewszystkiem drogi Dülfera na Torre del Diavolo i Guglia E. de Amicis jako sukcesy już poprostu... «niepokojące». Otóż obecnie snują się przez różne wydawnictwa alpejskie dokładne, ze szkicami, opisy I w. na Dolomitową «Guglia 43. Legione Alpina Piave» (E. Faè, L. Forgiarini, D. Rudatis i B. Zancristoforo, dnia 13 września 1931 r.). Turnia liczy 100 m względnej wysokości, wspinaczka na niej jest super-krańcowo trudna, znacznie jakoby przewyższająca trudnościami oba zacytowane wejścia Dülfera. Bardzo pięknie; wierzymy na słowo. Ale co z tego? W Dolinie Bętkowskiej pod Krakowem jest również igła — «nazywana» zgoła podobnie: «Turnia STAZS» — której pokonanie z pewnością kiedyś nastąpi, a będzie tak samo super-trudne. Ale co jeden i drugi wygodny wyczyn gimnastyczny będzie mieć wspólnego ze wspaniałym, najtrudniejszym sportem górskim?

Loty nad Tatrami. W dniach 14 i 15 sierpnia b. r. organizuje Sekcja Kolejowa Aeroklubu Krakowskiego propagandowo-sportowe loty awjonetkowe nad Tatrami (z lotniska w Nowym Targu). Opłata za ten niezwykle interesujący lot wynosi 30 zł, jednakże członkowie STPTT mogą nabywać bilety zniżkowe w cenie 20 zł. Ponieważ w dwu dniach można przewieść najwyżej 30 osób, pożądane są wcześniejsze zgłoszenia, które należy kierować na ręce d-ra K. Piotrowskiego (Kraków, Długa 60). W razie niepogody loty odbędą się w następną niedzielę.

Z PIŚMIENNICTWA

MARZA OSTRAWICKA: Uśmiech Tatr. *Cykl fragmentów powieściowych na tle zdarzeń prawdziwych.* Z przedmową Anny Skarbek. Warszawa 1932, str. 126.

Od pierwszego momentu — od okładki, od dedykacji i wątpliwie potrzebnej przedmowy — dowiadujemy się o kogo chodzi, o dwie śmiałe taterniczki, które w 1929 r. zginęły na pd. ścianie Zamarłej Turni. Ten apokryficzny charakter książki domaga się konfrontacji. Ale nie zamierzam jej przeprowadzać. Choć może lepiej niż ktokolwiek znałam myśli i czyny zmarłych turystek, byłoby to dla mnie rzeczą trudną: ze starszą przyjaźniłam się, z młodszą poznałam wspinaczki. Umarłe, odeszły już tak daleko, że sprawdzenie rzeczywistości nie doda już blasku cieniom. Fragmenty poświęcone młodym dziewczętom nie wychodzą poza sferę banalnych pochwał i literackiej przeciętności. Rozumiemy ból matki, ale byłoby lepiej, gdybyśmy nie musieli opierać swego sądu artystycznego tylko na tej przesłance. Bohaterki nie kontrastują z tłem, nie są jeszcze ludźmi. Może to młody wiek, a może usilne zaznaczanie przez główną bohaterkę, że córki są niejako jej emanacją, jej dorostem, jeśli tak można powiedzieć, choć w dwóch różnych kierunkach.

Jeżeli zastanowimy się nad bardziej zróżnicowaną psychicznie starszą córką, dziwi nas tu akcent niezrozumiałego buntu przeciw życiu. Młoda dziewczyna buntuje się ustawicznie, na różnych drogach myślowych, od przelotnej idei dorównania pani Pompadour (przytem nie docenia trudności) aż do nieskomplikowanych i zgoła nie światoburczych rozważań filozoficznych o charakterze wyraźnie wtórnym. Ten rzeczywisty (choć niezawsze autentyczny!) pamiętnik dziewczęcia jest w swym buncie niecelowy i nienowoczesny. Młoda dziewczyna od życia ucieka w góry. Ach, życie w osiemnastym roku? Nie idzie w góry po ogień dla swego życia, cofa się, ucieka. Czyż taki jest stosunek dzisiejszej generacji sportowej do gór, do życia w społecznem mieście, do własnej duszy? Sport młodej dziewczyny nie jest pasją, nie jest potrzebą, jest literackim rezerwatem, śmietniczkiem, w którym realizuje się wszystkie niedosyty życiowe. To nie jest czynna i jedynie zwycięska postawa wobec życia.

Podtytuł: «fragmenty powieściowe», obronił autorkę przed zarzutem, że nie dała całości, ciągłości, być może nie starczyło jej sił. I tak, matka w odniesieniu do dorosłych, tragicznie straconych dzieci, waha się ciągle między nieświadomością, okruchami ostrej prawdy, a samorzutną i szlachetną chęcią «ubronzowienia».

Zapał taternicki, żałosny zapał który popchnął w śmierć, nie znalazł także pełnego wyrazu w książce — być może, trudno o tem pisać laikowi. Jedynie dziennik tatrzański Leny jest jaśniejszą stronicą drugiej części. Myślimy: nareszcie coś, co nie nastręcza wątpliwości; proste i łatwo zrozumiałe, i nawet, bez wahania: prawdziwe. My wszyscy, patrzyliśmy na życie młodych dziewcząt przez pryzmat katastrofy na Zamarłej Turni. To podciągnęło je do rangi, której w nagle urwanem życiu nie zdążyły jeszcze osiągnąć i której, być może, nie osiągnęłyby nigdy. Dla nas, którzyśmy je znali, książka banalizująca niewątpliwie szczere i naiwne pragnienia młodych naszych towarzyszek, jest przykra, a co więcej, zawstydzająca. Nie możemy się obronić pytaniu: a więc to tak było? i tylko tak? A przecież one już na to nie mogą odpowiedzieć.

Dla szerszego ogółu, dla ludzi którzy nie znali tych dwóch jasnowłosych dziewcząt z Zakopanego, książka ta z powodu swej fragmentaryczności i niejasności, oraz wad literackich, pozostanie zamknięta na siedem pieczęci.

M. M. Perlberżanka

Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki